

gazel owwla

NR6 (26) 2013
ISSN 2084-6932

Swadeshtut



012



004

OD REDAKTORA

Jolanta Wroczyńska

006

DROGOWSKAZY

Zmieścić stopę w złotym pantofelku

Agnieszka Czapczyńska

012

BEZKRESY

Bajkał

Waldemar Ławecki

022

NA PAPIERZE

Jeden rok

Kasia Bartsch-Cielebon

028



028

CHOPIN WIECZNIE ŻYWY

Co z tymi świadectwami?

Piotr Mysłakowski

032

Pomniejszenie istotności

Monika Mikołajek

034

PIRUETY...

Świadectwo, czyli opowiem wam (...)

Agnieszka Kaczorowska

038

PROJEKTOR

foto Katarzyna Bogucka

048



044

GUZIK

Moda w II połowie XX wieku

Klaudia Ofiara

048

OD CZAPY

Między braniem a dawaniem

Karolina Dyja

050

WIEDŹMA

powieść w odcinkach cz. XX

Kasia Bartsch-Cielebon

057

BAJKI NOWE

Sonet z PI-kotką-m

Anna Błachucka

060



058

MYŚLI Z ŻYCIA

Świadectwo

Anna Ciemniecka

060

ŻAK

Niewierny Tomasz

Paweł Radźko

062

SZORT MAT

Dowód ostateczny

Michał Lewandowski

064

ZAWODY ŚWIATA

Biblioteka przyjacielem człowieka

Joanna Dudek-Ławecka

064



070

BABEL

MY TRAVELS

Israel – Stuck elevator

part II

MOJE PODRÓŻE

Israel – Zacięła się winda

część II

Agnieszka Thomassen

Wydawca
Plstacja Media
Katarzyna Bogucka

Stowarzyszenie Pi-stacja
biuro@pistacjamedia.com
biuro@pi-stacja.com
www.pistacjamedia.com
www.gazetownia.eu

Biuro reklamy
marketing@pistacjamedia.com

Zespół Redakcyjny
Katarzyna Bogucka
Joanna Dudek-Ławecka
Joanna Wroczyńska
Jolanta Wroczyńska

Foto
Katarzyna Bogucka
Waldemar Ławecki
Agnieszka Thomassen
Artur Radźko

Ilustracje
Aleksander Bogucki (pingwin)
Mintoft (okładka, logo Chopin)
Paweł Siwochowicz (wiedźma)

Opracowanie graficzne i skład
Agnieszka Maślanka

Współpraca techniczna
Agnieszka Betkier

Wydawnictwo zastrzega,
iż dalsze rozpowszechnianie
materiałów opublikowanych
w piśmie Gazetownia bez zgody
Wydawcy jest zabronione na
podstawie art. 25 ust.1 pkt 1b
prawa autorskiego.
Copyright Plstacja Media 2013

Od redaktora



Czy macie czasami wrażenie, że życie jest szare i nudne? Codziennie te same obowiązki i zajęcia. A gdzie jest prawdziwe życie?

W „Gazetowni” staramy się pokazywać treści i wartości doświadczane przez życie. Nasi autorzy posługują się językiem obrazu i słowa, dając Czytelnikom możliwość spojrzenia na wiele spraw, jak i na siebie poprzez świadectwa innych.

Zapraszamy do lektury – przeczytacie wiele o różnych świadectwach, a tymczasem skończyła się szkoła, ogłoszono wyniki matur i rozdano świadectwa. Czy będą one rzeczywiście świadczyć o zawartości młodych głów i sprawności ich umysłów?

Miłych wakacji!

Jolanta Wroczyńska

Twoją
myśl
przekażemy
innym...



Na Twoje
pytanie
poszukamy
odpowiedzi



ZMIĘŚCIĆ STOPĘ W ZŁOTYM PANTOFELKU

Agnieszka Czapczyńska





Agnieszka Czapczyńska - psychoterapeutka, pracuje metodami terapii przez sztukę i psychologii zorientowanej na proces, specjalistka w zakresie przeciwdziałania przemocy w rodzinie, trenerka warsztatu Polskiego Towarzystwa Psychologicznego. Od kilkunastu lat zajmuje się terapią oraz warsztatami rozwoju osobistego dla kobiet. Współtwórczyni *Fundacji Miejsce Kobiet*.

Wiek dojrzewania jest okresem przejścia z jednej fazy życia do drugiej, przewartościowania, zmiany myślenia na temat tego kim jestem, dokąd zmierzam, jakie są moje cele. W rdzennych tradycjach, zmianie tej towarzyszyły rytuały, w których żegnano symboliczną „śmierć” dziecka i witano „narodziny” dorosłej członkini lub członka społeczności. Rozumiano, że przechodzenie od okresu dzieciństwa do dorosłości jest na tyle trudne psychicznie, że bez przewodnictwa łatwo jest się zagubić. Traci się przywileje i ograniczenia dziecka, osoby zależnej od innych, ale równocześnie chronionej przez otoczenie. Zyskuje prawa i obowiązki kobiety lub mężczyzny niosących odpowiedzialność za swoje życie i z czasem życie innych.

W naszej kulturze rytuały tego typu mają charakter bardzo szczątkowy i każde kolejne pokolenie przekracza swój próg dorastania w stanie wewnętrznego chaosu, plątaniny sprzecznych uczuć i braku zrozumienia dla procesu zmiany w jakim uczestniczy. Stawanie się kobietą oznacza pożegnanie z byciem dziewczynką. To dwa drastycznie różne światy. Dziewczynce generalnie wolno o wiele więcej niż kobiecie. Dziecko ma prawo być spontaniczne, rozwijać się tak jak chce, nie mieć wielu obowiązków domowych, nie poświęcać dla innych, mieć swoje pasje, spędzać wolny czas na zabawie, ubierać jak mu wygodnie, a nie jak „należy”, jeść to co chce...

Przejście w kobiecość w naszej kulturze jest procesem ograniczania samej siebie na rzecz oczekiwań innych. Bardzo obrazowo oddaje ten proces baśń o Kopciuszku, we fragmencie opisującym wizytę księcia w domu

macochy: „Matka podała jej nóż i rzekła: – Obetnij palec. I tak, gdy zostaniesz królową, nie będziesz chodziła piechotą... Córka odcięła palec, z trudem wcisnęła trzewiczek i z zaciśniętymi z bólu zębami wyszła do królewicza.” Aby wpasować swoją indywidualność, z jaką każda z nas przychodzi na świat, w „złoty pantofelek”, musimy podobnie jak córki macochy odciąć się od jakiegoś kawałka swojej indywidualności, natury, temperamentu, zainteresowań... Jeśli złoty pantofelek w rękach księcia oznacza kulturowy wzorzec „idealnej kobiety”, to jest to przekaz mówiący „masz wartość w oczach innych i zasługujesz na względy mężczyzny o tyle, o ile dopasujesz się do jego oczekiwań wobec ciebie. „Przykrój się” dobrze do szablonu i nie zważaj na ból jaki się z tym wiąże.”

Słynna terapeutka, obrończyni praw dzieci, Alice Miller, nazywa ten proces tworzeniem „fałszywego ja”. Kultura, w której żyjemy, wymusza na dziewczynkach i chłopcach rezygnację z tego „kim są” na rzecz tego „jakie powinny być”. Wizerunki idealnego mężczyzny i kobiety różnią się znacząco od siebie. Standardy „właściwego” zachowania i wyglądu kobiet nie są zbyt precyzyjnie opisane, jednak łatwo je rozpoznać, ponieważ otoczenie surowo karze „buntowniczkę”. Dziewczyny, które mówią wprost to co myślą nazywane są „wyszczekanymi”, więc szybko uczą się milczeć w sytuacjach publicznych. Dziewczyny, które mają budowę ciała odbiegającą od wysoko nagradzanej szczupłej sylwetki, są wyśmiewane, więc szybko uczą się nie lubić swojego ciała i głodzić je. Dziewczyny, które z natury swojego umysłu są dociekliwymi intelektualistkami, uczą się to ukrywać, żeby nie zasłużyć na miano „mało seksownych nudziar”. Dziewczyny, które urodziły się z mocną, wojowniczą naturą, odkrywają, że nie są to cenione kobiece cechy, więc wyrabiają w sobie spolegliwość i poddaństwo wobec otoczenia. „Żeby być piękną trzeba cierpieć”. Uważa się, że dziewczęta w wieku dojrzewania „głupieją” i robią się trudne dla otoczenia z powodu „burzy hormonalnej”. Podobną „burzę hormonalną” kobiety przechodzą czterdzieści lat później w okresie menopauzy, ale nie kończy się to tak wielką liczbą prób samobójczych i udanych samobójstw, licznymi przypadkami samookalectwania się, bulimii i anoreksji jak u nastolatek. Utrata prawa do bycia sobą i wyrażania w świecie swojego „autentycznego ja”, która wydarza się w okresie dojrzewania jest najwyraźniej tak bolesna, że jakaś część dziewcząt (i chłopców) woli śmierć. To brzmi bardzo drastycznie, ale też i doświadczenie dojrzewania w naszej kulturze nie należy do łatwych i prostych...

Metody przetrwania

Młode dziewczyny przyjmują kilka typowych strategii przetrwania kulturowej presji. Jedną z nich jest przystosowanie się, dążenie do idealnego wpasowania się kulturowy wizerunek młodej kobiety. Masowo robią się podobne do kolejnej „ikony” popkultury, mówią tak jak ona, robią to co ona. Inną strategią jest „ucieczka do środka”, zamknięcie się w sobie, rezygnacja z dotychczasowych pasji i zainteresowań, odcięcie od otoczenia np. w kręgu książek, muzyki, depresja ze wszystkimi symptomami tego stanu, takimi jak obniżony nastrój, niskie poczucie własnej wartości, utrata radości życia, brak motywacji i napędu do najprostszych czynności. Inną możliwością jest gniew i bunt, ostre przeciwstawianie się wszelkim ograniczeniom, czasem kosztem samej siebie, swojego bezpieczeństwa czy zdrowia. Czasem jedna strategia dominuje w zachowaniu młodej kobiety, czasem dziewczyny używają każdej z nich. Ale wrogami numer jeden są za każdym razem zwykle rodzice...

Jak wspierać młode kobiety

Kultura, w której żyjemy nie jest w gruncie rzeczy zainteresowana rozwojem indywidualności młodych kobiet. Ten podprogowy przekaz dociera do dziewczynek od najwcześniejszych lat życia i trudno się dziwić, że jest skuteczny. Stawanie się młodą kobietą oznacza rezygnację z tego kim się jest, na rzecz dostosowania do wymogów otoczenia. W przypadku młodych kobiet, tym otoczeniem z czasem przestają być rodzice (ich standardy stają się „przestarzałe”) a zaczyna być grupa rówieśnicza i kultura masowa. Stawanie się kobietą wiąże się z poważną stratą dla własnego człowieczeństwa, ponieważ trzeba wyglądać tak, żeby podobać się chłopcom, zachowywać w określony sposób (np. „luzacki”), interesować bardziej modą i urodą niż tym co dla wielu dziewczyn byłoby naprawdę interesujące, zrezygnować z tych aspektów swojej natury, które nie pasują do „wizerunku”.

To odcięcie dotyczy cech uważanych w naszej kulturze za tradycyjnie „męskie” – generalnie asertywność, autonomia, skupienie na sobie, zainteresowanie czym innym niż relacje z innymi itp. Wyznacznikiem poczucia własnej wartości młodych kobiet staje się to, na ile udało im się zdobyć akceptację chłopców. Wielu rodziców widzi ten bezlitosny proces wyzbywania się swojej indywidualności przez dojrzewającą córkę, ale próby

przeciwstawiania się mu wydają się bezowocne. Jest takie powiedzenie wśród rodziców nastoletnich dzieci „trzeba to przetrwać jak dżumę”. Tylko co z zadżumionymi? I co z własnym żalem na widok ukochanej córki, która z własnej woli rezygnuje ze swojej indywidualności i na naszych oczach zamienia w kopię aktualnie modnej gwiazdy mediów.

Wspieranie „autentycznego ja” młodych kobiet, jest majstersztykiem, ponieważ trudno rozeznaczyć gdzie ono jest. Czy chęć wytatuowania się na całym ciele to „autentyczne ja” mojej córki czy jej dopasowanie do klasowych standardów bycia „cool”? Czy zgoda na nocowanie na osiemnastce kolegi to dawanie prawa do autonomii czy poddawanie presji kulturowej dotyczącej aktywności seksualnej nastolatków? W tym labiryncie sprzeczności, tak samo gubią się nasze dzieci jak i my rodzice. Z mojej perspektywy pozostaje najprostsza metoda. Uczciwe rozmawianie ze sobą. Wyrażanie swoich uczuć i potrzeb, uważność na uczucia i potrzeby dorastającego dziecka. Mówmy otwarcie naszym córkom jak bardzo są piękne i wartościowe takie jakie są, jak ważne jest, aby wyrosły na wolne, niezależne kobiety. I to nie tylko wyzwolone z ograniczeń jakie stawiamy im my, rodzice (co jest generalnie ich celem), ale z ograniczeń stwarzanych przez normy grupy rówieśniczej, oczekiwania chłopaka, przyjaciół. Może kiedyś zechcą to usłyszeć...

Agnieszka Czapczyńska
Nowy Świat Kobiet



PAUZA DLA DUCHA I CIAŁA

K.S. Delta Warszawa, ul. Jeziorna 2, 02-911 Warszawa, tel. (22) 224 08 68
facebook.com/przystanekcafe, www.przystanekcafe.com



Bajkał

Waldemar Ławecki



O tym jaki jest piękny, duży i jak daleko od nas należy się po prostu przekonać, docierając do niego, no a jeśli już, to najlepiej Koleją Transsyberyjską. Słowa, że ma 636 km długości nie są tak sugestywne jak jego sylwetka nałożona na kontur Polski. Okazuje się, że Bajkał leżący na tej samej szerokości geograficznej rozciągałby się prawie od czeskiej Pragi aż po Suwałki. Słowa, że od Polski oddalony jest o ponad 5 tysięcy kilometrów odczuwa się dopiero w trakcie



trwającej 5 do 6 dni podróży koleją. Czyli jak wyjedziemy z Warszawy bezpośrednim pociągiem we środę to dotrzemy do Irkucka w poniedziałek wieczór! Ale nie jest to nudna podróż i mija nadspodziewanie szybko. Każda doba przynosi 3-4 półgodzinne postoje w kolejnych miastach, a wagon mieści jedynie 36 osób, które już następnego dnia są dobrymi znajomymi mającymi swoje interesujące powody do odbycia podróży. „Kipiatok” u „zawiaduszczej” wagonu, zakupy na peronach, celebrowanie picia kawy i herbaty oraz częstowanie się przysmakami z kraju stwarzają przyjazną atmosferę z nutką niepokojącego oczekiwania na spotkanie z czymś niezwykle, nieznanym, fascynującym.

Po około 100 godzinach docieramy do bram Bajkału – Irkucka i rozpoczyna się nasze poznawanie innego świata. Ta „inność” towarzyszyć już nam będzie do końca i zaskakiwać coraz to nowymi odkryciami. Już na dworcu, gdzie dotarliśmy po zmierzchu, zegar wskazywał 17.00. Okazało się, że nie jest to pomyłką, tylko konsekwentnym pokazywaniem czasu na kolei rosyjskiej wg zegara moskiewskiego! W kraju, gdzie jest 11 stref czasowych (gdzie słońce nigdy nie zachodzi), podróżować należy według czasu stolicy.

Zanim wyruszymy nad największe jezioro w Azji, będące największym zbiornikiem słodkiej wody na świecie, jeziora mającego tyle samo wody co Morze Bałtyckie, najgłębszego jeziora świata, którego głębokość wynosi 1637 metry, mamy możliwość poznać gubernialne niegdyś miasto – Irkuck. Administrował on niegdyś nawet Alaską i był największym miastem Syberii Wschodniej przybliżającym tę olbrzymią krainę, wraz z jej bogactwami, cywilizacji europejskiej. Założony został w 1661 roku (a ta data dumnie widnieje i na opakowaniach czekoladek, piwa i wielu wytwarzanych w mieście produktów) na wyspie rzeki Angara jako miejsce warowne. Szybko się rozwijał, bo przybywało kolonistów chcących bogacić się na powstającej nowej ważnej trasie handlowej.



Irkuck to także najbardziej popularne miejsce carskich zsyłek (więziony był tu nawet Józef Piłsudski), ale także miejsce rodzenia się fortun i to często z udziałem naszych rodaków przybywających tu także dobrowolnie, a nawet zakładających całe nowe wsie, jak leżąca niedaleko – Wierszyna. Dzisiejszy Irkuck zadziwia kontrastami. To metropolia o niskiej parterowej zabudowie. Stolica regionu z większością drewnianych domów, ale z liczbą aż 600 tysięcy mieszkańców, co stanowi połowę mieszkańców regionu. Siedziba pięciu uniwersytetów, filharmonii, opery, teatrów, muzeów i skansenów.

Irkuck leży nad Angarą, jedyną rzeką wypływającą z Bajkału, który zasilany jest aż przez 336 rzek - tę liczbę podają wszystkie przewodniki, za badaczem jeziora, naszego rodaka Jana Czerskiego (zesłańca po Powstaniu Styczniowym), choć współcześni doliczają się 460 rzek i strumieni. Naukowcy obliczyli, że gdyby Angara zabrała całą wodę jeziora, to jego ponowne napełnienie zajęłoby dopływom 400 lat. O tym jak piękny i niezwykły jest Bajkał przekonuje się każdy, kto do niego dociera. Można jechać wzdłuż Angary od Irkucka i dojechać jedyną w rejonie dobrą asfaltową drogą do Listwianki - wioski nad jej brzegami. Podobno tę drogę wybudowano na przyjazd prezydenta Eisenhowera, tak jak i hotel nad brzegiem Bajkału, ale zawirowania polityczne nie pozwoliły na przyjazd Amerykanów. Niemniej asfalt i hotel pozostał. Listwianka, niegdyś zabudowana modrzewiowymi domami, otrzymała swą nazwę właśnie od nazwy tego popularnego w tym regionie drzewa, gdyż „listwiennica” znaczy modrzew. Niestety „noworuscy” już nie szanują uroku dawnej syberyjskiej zabudowy i ostatnio powstało tu sporo „gargamel”.

Z Listwianki można promem przepłynąć się na drugą stronę Angary, do miejscowości Bajkał. Jest to o tyle nieodczowne, że stąd rozpoczyna się najładniejszy, najefektowniejszy, najciekawszy odcinek magistrali transsyberyjskiej, biegnący nad brzegiem jeziora, u stóp gór schodzących bezpośrednio do wody, nazywany

„krugobajkałką”. Aby mógł powstać, należało zbudować 39 tuneli o łącznej długości 6 km oraz 248 mostów i wiaduktów. Było to nieodzowne, bo Bajkał stanął na drodze kolei. A kolej musiała być zbudowana, bo dzięki niej był sens wydobywać wszelakie bogactwa syberyjskiej ziemi i transportować je do metropolii europejskich. Krugobajkałka powstała niezwykle szybko, bo jedynie w ciągu kilku lat, gdyż przegrana w wojnie rosyjsko-japońskiej uświadomiła Rosjanom znaczenie strategiczne trasy. Wcześniej usiłowano w trakcie zimy, czyli od stycznia do kwietnia, przeprawiać się koleją przez zamrożone jezioro. Układano więc na kilkumetrowym lodzie tory, a konie ciągnęły lokomotywy i wagony. Po lodzie także przeprawiano zimą ludzi i bagaże. Sanie z końmi miały specjalnie co 6 kilometrów budowane na lodzie baraki, aby przy ogniskach łatwiej było znieść trudy podróży po lodzie.

Bajkał nie pozwala cieszyć się kąpielami normalnym wczasowiczom, bo jest zimny. Temperatura jego wody nie przekracza nigdy 10 stopni Celsjusza. No, ale gdy do maja, a niekiedy nawet do czerwca często pływa po nim jeszcze kra, a ponownie zaczyna zamarzać już w listopadzie, to kiedyż ma się nagrzać? Jest za to niezwykle czysty i o wodach nieprawdopodobnie przejrzystych. W wielu miejscach oglądać można kamyki na dnie sądząc, że są na wyciągnięcie naszej ręki, tymczasem oddalone są od naszych oczu o 40 metrów! Że jest czysty najprościej jest się przekonać, jedząc zupę „uchę”. Typowa potrawa gotowana przez tubylców z pięciu różnych gatunków ryb i na miejscowych „trawach” jako przyprawach smakuje wybornie. Trochę rzadną miny turystom, gdy dowiadują się, że ugotowano ją na wodzie z jeziora. No, ale gdy nie dopada żadna przykra przypadłość żołądkowa, a w kolejnym dniu miejscowi znów zapraszają nas do wiadra z uchą nad ogniskiem, rozkosznie wabiącą zapachem, a wcześniej widzimy, że wiadra te napełniali wchodząc po prostu z nimi po wodę parę metrów od brzegu – wówczas już wiemy, że Bajkał to synonim czystej wody. A dzieje się tak dlatego, że Bajkał samooczyszcza się za sprawą małego skorupiaka – episzura. On jest głównym naturalnym biologicznym filtrem. Episzur odżywia się zabarwiającymi wody mikroorganizmami, a jego z kolei zjada najsłynniejsza ryba jeziora - endemiczny omul. Ta smaczna, niewielka ryba, żyjąca tylko w Bajkale była znana i ceniona od początku odkrycia Bajkału. Sprawianą na przeróżne sposoby jako największy rarytas dostarczano także na carskie salony do Petersburga. Współcześnie też można cieszyć się jej smakiem, a na bazarku w Listwiance najbardziej smakuje wędzona na gorąco i serwowana zaraz po uwędzeniu. Wielu twierdzi, że tylko dla smaku gorącego omuła warto przyjechać nad Bajkał.

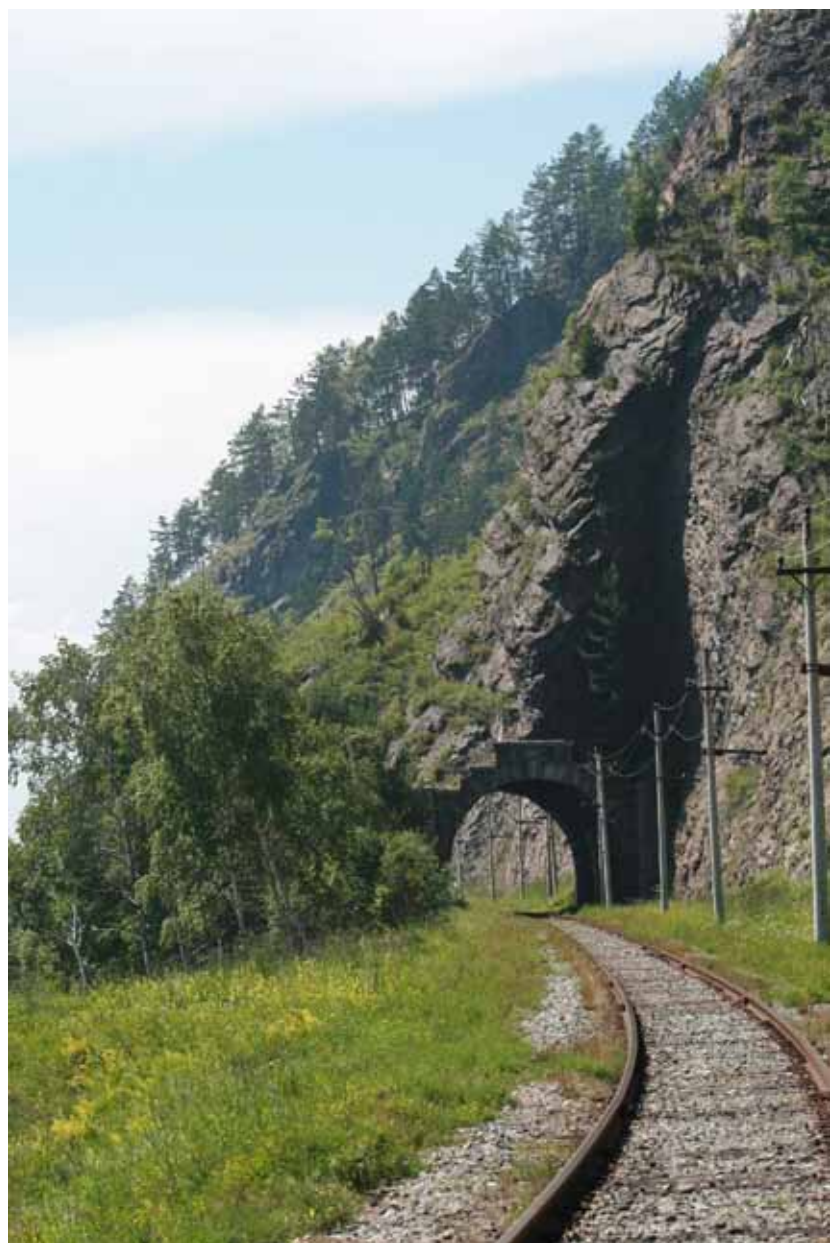
Inną osobliwość, ale i tajemnicą Bajkału jest nerpa. To jedyna na świecie słodkowodna foka. Skąd i kiedy przybyła, z którego morza i jakimi rzekami oraz

jak udało jej się zmienić upodobania i zaakceptować słodką wodę – naukowcy wciąż starają się dociec. Dla turysty jest najważniejsze, że stworzono możliwość oglądania tych przesympatycznych zwierząt w ich naturalnym środowisku, nie w jakimś basenie czy cyrku, ale tam, gdzie czują się najlepiej i są bezpieczne. Baraszkujące i leniwie wypoczywające foki zgromadzone w duże stada można oglądać na skałach w pobliżu wyspy, na której są platformy do ich podglądania. Zachowując ciszę, aby ich nie spłoszyć można godzinami im się przypatrywać. Dostać się można do nich jedynie poprzez dopłynięcie po „Morzu Syberii” czymś solidnym do Wysp Uszkanich, płynąc np. od Przylądka Święty Nos do Wyspy Olchon. Podpłynąć wówczas można do bezludnej wyspy strzeżonej jedynie przez kilku zmieniających się wartowników, będącej ścisłym rezerwatem, a znajdującej się parę metrów od skał wybranych na odpoczynek przez nerpy.

Wspomniany już Olchon, to największa wyspa Bajkału. I tak jak o Bajkale mówi się, że jest sercem Syberii, to Olchon stanowi serce Bajkału. Ma ponad 70 km długości i prawie 14 kilometrów szerokości. To w większości step, ale liczne zatoczki, skały przy nich, a także łagodne wzniesienia czynią wyspę przepiękną. Zachwyca jej naturalność. Tu nawet Piętaszek poczułby się jak na bezludnej wyspie. Cywilizacja jakby jeszcze i oby na zawsze, tu nie dotarła. Na wyspie nie ma



asfaltu ani utwardzanych dróg, nie ma kanalizacji, a jedynie z powodu małej ilości wody ułatwiono mieszkańcom życie, doprowadzając ją wodociągami. Człowiek żyje tu w zgodzie z naturą i całkowicie jej podporządkowany. Wybudował sobie domy z bali z potężnych drzew syberyjskich, myje się w prawdziwej syberyjskiej bani ogrzewanej piecem, w którym pali się drewnem, spożywa to co złowi lub wyhoduje na skrawku piaszczystej ziemi. Prawdziwy powrót do natury. Obserwować możemy życie jakim Bóg i natura je stworzyła. Nieliczne terenowe auta jeżdżą jak i gdzie chcą, podobnie jak krowy, które też nie przestrzegają żadnych zasad kodeksu drogowego. Nawet do krótkiego pobytu tutaj należy się odpowiednio nastawić i wiedzieć co nas może spotkać. Należy odnaleźć w sobie duszę trapera i cieszyć się z możliwości posmakowania życia w jego naturalnym wymiarze, w przeciwnym razie będziemy czuli się tutaj źle. Nie poczujemy zapachu wiatru, stepu i nie poczujemy intensywności ciągle jakby świeżego modrzewia, z którego zbudowano praktycznie wszystko. Nie ma tu wypasionych hoteli z zapleczem Spa ani restauracji. Są rodzinne pensjonaty i sławojki skrywające olbrzymie doły kloaczne, bo kanalizacji być w ścisłym rezerwacie nie może. Jest kilka barów i sklepów sprzedających piwo i wódkę i stwarzających



możliwość porozmawiania i niespiesznego poznawania ludzi i ich opowieści o życiu i wierzeniach. A wierzenia i kultura tych ludzi, to kolejny powód dla którego nawet specjalnie warto tu przyjechać. Wielu z nich to potomkowie Buriatów, przez stulecia żyjący wspólnie z Rosjanami, którzy wytworzyli przedziwną mieszankę elementów różnych kultur. Odradza się teraz to, co zniszczono za komuny. Powstają „dacany” czyli buriackie świątynie buddyjskie, w ich pobliżu stawia się stupy, czyli symboliczne grobowce. Znowu czci się święte miejsca i bóstwa, szamani buriaccy posługują się elementami medycyny tybetańskiej, a wszyscy kultywują pamięć swych przodków. Znowu jest zapotrzebowanie na szamanów i powraca wiara w ich poczynania. Na Olchonie w wielu miejscach spotkać możemy wbite w ziemię pale z powiewającymi na wietrze i przywiązanymi do nich wstążkami lub szmatkami. Pod tymi słupami znajdujemy monety, banknoty lub tylko papierosy. Wszystkie złożone w jakiejś intencji. Im bogatsza rodzina tym okazalsze słupy i bogatsze datki pod nimi. Czy oznaczają prośby o zdrowie dla bliskich, czy życzą śmierci krowie sąsiada – to wie już tylko szaman i ofiarodawca.

Aby poczuć i poznać Bajkał i jego serce – Olchon, aby poznać najważniejsze i najciekawsze miejsca wokół Bajkału, takie jak Wyspy Uszkanie, Przylądek Święty Nos, Ułan Ude (do niedawna nieistniejące na mapach „zakryte miasto” produkujące m.in. znane u nas helikoptery dla wojska), wioski Sludianka, Bajkał, Listwianka, czy Wierszyna, należy przeznaczyć jak najwięcej czasu. Dobrze, jeśli są to trzy tygodnie lub więcej. Najczęściej nie mamy tak komfortowej sytuacji i liczyć się musimy z każdym dniem. Biuro turystyczne „BezKresy” sugeruje, że minimalny czas na dobre poznanie tego terenu to 18 dni. Można wówczas spędzić dzień w Moskwie, poczuć odległość jadąc koleją transsyberyjską, zobaczyć najciekawsze miejsca wokół Bajkału i na Bajkale, spędzić trochę czasu w Irkucku i Listwiance. Oferowane są bardzo dobre warunki zakwaterowania i wyżywienia. Hotele spełniają bardzo przyzwoity standard minimum trzech gwiazdek, a pensjonaty na Olchonie i np. pływający hotel i jurty na Świętym Nosie gwarantują obok niewątpliwych wielu niezapomnianych atrakcji także minimum do dobrego samopoczucia w warunkach należytnej higieny, czystości i wygody. Oczywiście, spodziewając się komfortowych warunków wysokiej klasy hoteli można być rozczarowanym, jak zdarzyło się to naszym sąsiadom z pensjonatu - grupie Niemców, którzy zaraz po dotarciu do niego i poznaniu stanu sanitariatów natychmiast zażądali powrotu do „cywilizacji” irkuckiej, gdzie zaczęli pisać reklamacje. Odpowiednie przygotowanie i wiedza nie pozwolą jednak dać się niczemu zaskoczyć. Wokół Bajkału, tak jak po całej Rosji podróżować najlepiej w grupie i na zorganizowanym wyjeździe. Uniknie się wtedy

biurokratycznych trudności, które mogą zepsuć każdy wyjazd. Przyzwoity autokar, profesjonalni przewodnicy i fachowo zagospodarowany czas to są plusy wyjazdu zorganizowanego przez biuro, nawet dla małej grupy 2-óch, 3-ech osób. Usiłując robić to samodzielnie, możemy narazić się na niepunktualny i niewygodny oraz niekoniecznie pachnący transport, możemy nie znaleźć przyzwoitego hotelu (który często należy wcześniej rezerwować) i po prostu możemy tracić czas na wyważanie otwartych już przez innych drzwi. Nie znaczy to oczywiście, że doświadczeni i odważni podróżnicy nie mogą odkrywać Bajkału indywidualnie. Podróż z plecakiem i pojedynczych osób też jest możliwa i bezpieczna, i liczyć można na pomoc i opiekę miejscowych, ale już na autostop jest się ciężko nastawiać, bo aut tam po prostu mało, a i o wypożyczalniach jeszcze nie pomyśleli. Wracać znad Bajkału możemy samolotem z Irkucka do Moskwy i dalej do Warszawy. Lot to nieco ponad 4 godziny do stolicy Rosji. Bilety lotnicze są niewiele droższe od przejazdu dobrym pociągiem. No ale wrażenia z „Transsibu” są bezcenne i powinno się je poznać.

Nad Bajkał najlepiej jest się wybrać w lipcu lub sierpniu. Tylko te miesiące dają szansę na ciepłe dni, możliwość opalania się, kąpieli w pobliżu ciepłych źródeł w zatokach bajkalskich, odbywania długich spacerów po przybajkalskich lasach i rozkoszowania się przyjazną wówczas przyrodą. Ciekawy może być wrzesień, dostarczający feerię jesiennych barw w nieprzebytych kniejach, a także ciekawe choć przecież zupełnie inne mogą być wyprawy zimowe. Gdy Bajkał zamarźnie w lutym, marcu, daje wówczas kilkumetrową skorupę idealnie gładkiej powierzchni, na której można szaleć na saniach, nartach, skuterach śnieżnych czy jeżdżąc samochodami. Wszystkie te warianty możliwe są z „Bezkresami”. Przy braku czasu nawet siedmiodniowa wyprawa jest możliwa do zrealizowania, choć w takim przypadku już tylko z przelotem w obie strony samolotem, bo przecież przejazd koleją to przy tak olbrzymich odległościach straszny pożeracz czasu. Nie dziwi w tej sytuacji przypomnienie zamierzchłej historii, gdy służący na Syberii w carskiej armii żołnierze nie co roku wykorzystywali należny im urlop. Składali sobie wolne dni przez przynajmniej pięć lat, gdyż tylko wówczas był sens odwiedzać najbliższych w kraju. A że służba trwała 25 lat to i na parę urlopów dało się uskładać przy pójsiem do cywila...

WŁ
B.T „BEZKRESY”

SMAKI ŻYCIA

KONKURS LITERACKI

FOTOREPORTAŻ

*Każda chwila jest
ważna ta słodka
i ta kwaśna.
Zatrzymaj chwilę
w kadrze.*

Ostateczny termin
nadsyłania prac
30 czerwca 2013
godz. 23:59

LITERACKI
*Posmakuj życia
literata i opisz
słodko-kwaśną
rzeczywistość.*

Stowarzyszenie PI-stacja

Twoją myśl prześlemy innym
www.pi-stacja.org



Jeden rok

Kasia Bartsch-Cielebon

Dlaczego wybrała ten kościół, ten konfesjonał i tego księdza? Hmm. Gdzieś musiała wreszcie się wypowiadać, żeby uzyskać parafkę na dokumencie zezwalającym jej zostać matką chrzestną. Jakoś nie była w stanie sfalszować podpisu.

– Bierzmowana byłaś. W porządku... To w której teraz jesteś klasie? – dopytywał się spowiednik.

– W trzeciej – odparła zgodnie z prawdą.

– I na katechezę nie chodzisz?

– Nie.

– I do kościoła też nie chodzisz...

– Nie – była coraz bardziej zdruzgotana. Nie podpisze jej tej kartki. No mowy nie ma.

– No i co ja mam z tobą zrobić? Milczała. Naciąganie, a że będę, a że tak poprawie się. Nie.

Po prostu nie. Jak już... to ma być uczciwie. Westchnięcie po drugiej stronie kratki.

– Zawrzemy umowę. Ok?

W głowie zapaliła się jej czerwona lampka.

– Taaak – przeciągnęła słowo.

– Ja ci to podpiszę, a ty przez rok będziesz przychodziła do mnie na katechezę. Może być?

Przełknęła ślinę. Duże zobowiązanie.

– Dobrze – zgodziła się z oporem. W pierwszym tygodniu nie przyszła, dopiero w następnym. Mała salka katechetyczna na parterze plebanii. Kilka starych ławek i krzeseł. Biurko i ksiądz Zbyszek. Gromada nieznanych jej osób. Popatrzyli na nią z ciekawością. Katecheta uśmiechnął się. Wybrała miejsce z tyłu, gdzie mogła wszystko widzieć i szybko uciec. Było



spokojnie. Obejrzała dokładnie innych uczniów. Posłuchała, co było mówione. Doszła do wniosku, że jakoś wytrzyma. Wytrzymała spokojnie i milcząco kilka kolejnych tygodni. Zeszyt przedmiotowy wzbogacił się o szereg różnych szkiców i rysunków.

Przyszła kolej na „umiejętność doświadczania cierpienia”. Nie dała rady spokojnie wysiedzieć. Chociaż sobie obiecywała, że nie będzie się angażować, że sobie tak po prostu posiedzi. No i nie dała rady. Zagotowała się.

– A dlaczego cierpią dzieci? A dlaczego osoby, które nie zrobiły nic złego?

– Dlaczego niektórzy lądują w wariatkowie, albo odbierają sobie życie?

– Jak można dobrowolnie zgodzić się na ból? Na cierpienie?

– Dlaczego?! Dlaczego?! Dlaczego?! Przecież to masochizm!

Miała wrażenie, że jej pytania i odpowiedzi księdza przypominały piłeczkę do ping-ponga. Nawet

nie zauważyła, że stoi i wykrusza dłońmi brzeg ławki. Nagle zorientowała się, że krzyczy. Momentalnie zamilkła i usiadła. Potem zerwała się, złapała torbę i wyszła. Wróciła dwa tygodnie później. Umowa to umowa. Nawet jak boli.

– Małgosiu, zabrałem twój zeszyt. Na poprzednich zajęciach go miałem, ale teraz niestety zostawiłem u siebie. Po katechezie pójdziemy i ci go oddam – przywitał ją ksiądz Zbyszek.

Czerwona lampka w głowie wyła i skakała. „Uwaga!!! Uwaga!!! Uwaga!!! Coś się dzieje. Uważaj!!!”

– A tak poza tym pozwoliłem go sobie obejrzeć. Ładnie rysujesz – dobił ją.

Przez całą katechezę miała wrażenie, że jest gdzieś indziej. Wpatrywała się w katechetę, chcąc zrozumieć, o co mu chodzi. „Ten zeszyt nie jest tego wart” powtarzała sobie. „Niech ci odda na następnej katechezie.



Nie wygłupiaj się. Daj sobie spokój! Luzik. No, po co z nim będziesz szła? Skąd wiesz, że ci nie robi krzywdy? Idiotka jesteś”. I idiotka poszła.

Pokój księdza Zbyszka był stosunkowo niewielki. Biurko pod dużym oknem. Ława po prawej stronie od wejścia. Dwa fotele. Tapczan po stronie przeciwnej. Więcej w pierwszym momencie nie zauważyła. Utknęła w drzwiach, bojąc się stracić drogę ucieczki. Ksiądz wziął leżący na biurku zeszyt. Wyciągnął do niej rękę. „Dlaczego mi go nie poda?! To ja mam po niego iść??!” Popatrzyła na podłogę. Zmierzyła odległość. Trzy duże kroki. Tylko trzy duże kroki. Czuła jak zaczynają się jej pocić dłonie. Pot zaczyna spływać z palców. Drżała. Tylko trzy kroki. Kolejna fala złych wspomnień. „Nie ruszę się. Nie dam rady. Nie!!!”. Tylko trzy kroki. Tylko trzy kroki. Raz, dwa, trzy. „Dasz radę. Ostatecznie przywalisz torbą”. Uśmiechnęła się do siebie. „To by zabolalo”. Opanowała się trochę. „Dobra. Idę. Jak mnie złapie krzyczę, że pożar. Pali się. Dobra.

Pożar. Idę”. Próbując zapanować nad trzęsącym się ciałem zrobiła pierwszy krok. Bezpieczna przestrzeń drzwi została z tyłu. Drugi krok. Mocniej ujęła pasek torby. Trzeci krok. Złapała zeszyt i momentalnie czmychnęła na bezpieczną odległość. Oparła się o framugę drzwi. Nogi były z waty. Brakowało w nich kości, mięśni i ścięgien. Osunęła się na podłogę i rozdzierająco rozplakała.

Teraz można było ją nawet poćwiartować. Nie byłaby w stanie zrobić jednego ruchu. Kątem oka dostrzegła, że ksiądz odsunął krzesło, usiadł na nim i przyglądał się jej. Miała wrażenie, a może jej się zdawało, że nerwowo stuka palcami o nogę. Wreszcie udało się jej opanować. Spojrzała na niego. Miał ściągnięte usta i zatroskane spojrzenie.

– To ja już pójdę – powiedziała cicho, podnosząc się powoli.

– Możesz sobie posiedzieć, mnie nie przeszkadza – odparł, nie ruszając się z miejsca, a po chwili dodał – zrobię ci herbaty...

Podniósł się. Drgnęła nerwowo.

– Podejdę tylko do kuchenki – wskazał jej kąt, którego jeszcze nie wypatrzyła.

Pokiwała głową. Było jej wszystko jedno. Herbata trafiła na ławę. Ksiądz wrócił na swoje krzesło.

– Usiądź i napij się.

Miała uczucie, że waży kilka ton i nie da rady nigdzie pójść. Dowlokła się. Ile tak siedziała? Zdawało się jej, że więcej niż wieczność. Wtedy dostrzegła książkę. „Eschatologia biblijna Nowego Testamentu” przeczytała odruchowo tytuł. I tak samo odruchowo zapytała:

– Mogę pożyczyć?

Popatrzył na nią i jakby sam zaskoczony odpowiedział:

– Niestety nie, ale jak chcesz to zawsze możesz przyjść i sobie poczytać.

Pokiwała słabo głową.

Zdecydowała się kilka tygodni później. Po katechezie zapytała czy nadal może „sobie poczytać”.

Potwierdził. Ostrożnie minęła drzwi i zajęła znajome miejsce na wysiedzianym fotelu. On usiadł przy biurku. Zajął się czymś, a ona zaczęła czytać. Tekst był trudny. Nie rozumiała go

i właściwie nie wiedziała dlaczego tak się na niego uparła. Taka sytuacja powtarzała się kilka następnych tygodni. Właściwie nie rozmawiali. Nie pytał jej czy rozumie, czy coś jej wytłumaczyć. A ona nie mówiła. Czasami zamiast czytać patrzyła na jego plecy i pochyloną nad biurkiem głowę i zastanawiała się o czym myśli. Któregoś dnia był bardzo pobudzony. Radosny. Odwiedziła go znajoma z rodzinnych stron. Dużo się nagadali. Chciał się podzielić tą radością, a ją coś zabolalo. Jakiś czas później ona też chciała się czymś podzielić.

– Miałam śmieszna przygodę – zaczęła.

Popatrzył na nią, zdziwiony chyba faktem, że się odezwała.

– Stałam około dwudziestej pierwszej na przystanku koło Placu – pokiwał głową, że słucha. Nagle coś go zaniepokoiło i zapytał:

– A co ty robiłaś o tej godzinie na ulicy?

– Jechałam odebrać koleżankę z praktyk. Bo ona się boi nocy – dodała w formie wyjaśnienia. Pokręcił głową na jej



niedoświadczenie.

– I?

– I zaczął się kręcić koło mnie jakiś facet – szerzej otworzył oczy.

– I okrążył mnie raz, drugi, trzeci. Zaczął mnie denerwować. Bo... A tramwaj jakoś nie chciał nadjechać...

– I?

– I zapytał „ile?” – Pokręciła głową. – Zupełnie nie wiedziałam o co mu chodzi. – uśmiechnęła się nagle – ale właśnie nadjechał tramwaj i wsiadłam, a on został z rozdziawioną... – nie dokończyła – a ja dopiero w tramwaju skojarzyłam o co mnie zapytał. Zaskoczył mnie. Totalnie.

Splótł ręce i odetchnął.

– A wiesz, że to może byłoby dobre. Może wtedy byłabym niezależna...

– Naprawdę tak myślisz?

Zostawiła pytanie bez odpowiedzi i zapytała siłą rozpędu:

– A ty?

– Co ja?

– A ty przespałbyś się ze mną?

Popatrzył na nią.

– Mógłbym być twoim ojcem.

– No to co? Nie podobam ci się

– jakby zrozumiała i posmutniała.

– To nie to. Jesteś dla mnie jak córka – powiedział wolno i zaskakująco ciepło.

– Ciekawe... – zastanowiła się. Popatrzyła mu w oczy. Nie kłamał. Po tej rozmowie jakoś rzadziej przychodziła do „czytelni”. W końcu przestała. Zapytał ją kiedyś czy przyjdzie. Odpowiedziała, że pracuje. Musiała się uśmiechnąć, widząc wyraz jego twarzy. Jako pakowaczka, wyjaśniła chwilę później. Na zakończenie odebrała świadectwo ukończenia XI klasy z wynikiem bardzo dobrym. Podpisano ksiądz Zbigniew. Oboje wiedzieli, że w przyszłym roku się już nie zobaczą.

– Będę się za ciebie modlić – powiedział na pożegnanie.

Pokiwała głową.

Minął rok.

KBC



Co z tymi świadectwami?

Piotr Mysłakowski



„Świadectwo” to pojęcie tyleż szerokie i pojemne, ile trudne do interesującego skomentowania. Pierwotne znaczenie tego słowa kieruje nas ku „zaświadczeniu” czyli poświadczaniu – prawdy lub nieprawdy, lub „byciu świadkiem” – epoki, wydarzeń. Ale można też „świadczyc usługi”, bądź „wyświadczać grzeczność”.

Ta ostatnia czynność należy do gatunku zjawisk kulturowych, związanych z minionymi epokami, podobnie jak „godność” w pytaniu „jak Pańska godność?”, zastąpionym proletariackim: „nazwisko??”, jakże często słyszany w dzisiejszych kontaktach petent–władza. Wyświadczenie grzeczności wydaje się coraz bardziej odchodzić do lamusa pojęć prehistorycznych, chociaż w czasach Chopina była jednym z kanonów współżycia między ludźmi.

Gdy się głębiej zastanowić, można by przypisać Chopinowi każde z tych znaczeń. Przecież żyjąc z dawania lekcji gry na fortepianie (okropnie drogich!) – świadczył usługi – chciałoby się rzec – dla ludności. Tyle, że owa „ludność” w przeważającej większości składała się z bardzo bogatych dam i ich córek,



dla których z jednej strony umiejętność gry była obowiązkowym elementem dobrego wychowania, z drugiej móc powiedzieć, że się brało lekcje u Chopina, było czynnikiem nadzwyczaj nobilitującym i dla wielu nieosiągalnym. Tak więc te usługi były świadczone i adresowane do wybranej grupy odbiorców. Była to ze strony „dostawcy usług” strategia przemyślana i według dzisiejszych kryteriów – nowoczesna. Świadczyła bowiem o dobrym ustawieniu metod działania i logicznym wyborze targetów.

Kolejne znaczenie, dające się przypisać naszemu bohaterowi to owo wspomniane wyżej wyświadczenie tzw. grzeczności. To zapleśniałe już nieco pojęcie, może nawet stało się niezrozumiałe dla dzisiejszego młodego pokolenia, jako że już samo bezinteresowne pomaganie komuś (bo tak mniej więcej to pojęcie należy rozumieć) brzmi obco w świecie całkowicie zmaterializowanej świadomości, pogoni za posiadaniem, władzą i pieniędzem. Nie ma miejsca na bezinteresowność, gdy wszystko jest podporządkowane interesowi. Powie Czytelnik, że jak świat światem, zawsze wszyscy gonili za interesem. To prawda. Ale w świecie romantycznych poetów i muzyków było jeszcze miejsce dla wspomnienia drugiego. A czymże innym jest wyświadczenie przysługi, dokonanie czegoś, co może pomóc drugiemu, ułatwić mu życie, uprzyjemnić codzienność jego zmartwień? Jednym z lepszych aforyzmów mego Ojca (autora prac filozoficzno-pedagogicznych) jest: „Dobroć bezinteresowna jest jedyną wartością absolutną”. Tak – ale musi być naprawdę bezinteresowna! Nie taka, gdzie wyświadczając komuś przysługę liczymy, że się nam to opłaci czy zwróci w postaci wdzięczności, łask czy korzyści. Innymi słowy – nie jest to wymiana usług: ja tobie grzeczność, ty mnie przysługę.

Chopin miał postawę życiową dość sprecyzowaną: z jednej strony prowadził politykę towarzysko-zawodową „dobrze ustawioną”, z drugiej otaczał się przyjaciółmi, których trudno posądzić o szukanie w tej znajomości korzyści. Kochali się przyjaźnią pozbawioną owego materialnego piętna interesowności. Gotowi do pomocy. Współczujący w trudnych chwilach. Zazwyczaj szczerzy i dobrze nastawieni

do siebie nawzajem. Oczywiście, jak w każdej epoce, nie brakowało drani, łajdaków, hipokrytów, wyzyskiwaczy, jednak w otoczeniu Chopina było ich stosunkowo niewielu. Taki przynajmniej obraz wyłania się, w moim odczuciu, z zachowanych świadectw – listów, pamiętników, opracowań...

Czy Chopin sam cokolwiek i kiedykolwiek „świadczył” – w znaczeniu „dawał świadectwo”? Otóż jest w jego biografii mało znany epizod sądowo-kryminalny. To nie pomyłka! Nasz wymuskany elegant, brzydzący się awanturą, kochający piękno i czystość został wezwany na świadka przed sąd. Quel horreur!

Sprawa była następująca: paryski wydawca nut, Maurycy Schlesinger, jako właściciel i redaktor głównego francuskiego pisma muzycznego, *Gazette Musicale*, stał się osobistością opiniotwórczą w dziedzinie życia muzycznego. W swych artykułach i recenzjach muzycznych ferował wyroki i oceny, które odbijały się szerokim echem wśród paryskiej (i nie tylko) publiczności. Oceny te miały oczywiście bezpośredni skutek finansowy, napędlając lub wyludniając widownię sal koncertowych.

W tamtych czasach we Francji sukcesy święcił pianista, pedagog i kompozytor Henri Herz, Austriak z pochodzenia, którego błyskotliwa gra wzbudzała wielki entuzjazm publiczności. Zaliczany do czołowych przedstawicieli stylu brillant, wraz z bratem założył w Paryżu konserwatorium (*École Spéciale de Piano*) z własną salą koncertową. Był jednym z sześciu autorów, zaproszonych wraz z Chopinem do pracy nad zespołową kompozycją (*Wariacje pt. Hexameron*). Sam Chopin wypowiadał się o jego grze dość chłodno. W 1834 roku Schlesinger wdał się w spór z Henri Herzem, którego uraził krytycznym artykułem w swojej *Gazette musicale*. Obrażony Herz pozwał Schlesingera do sądu, przedstawiając jako świadków grupę znanych muzyków, wśród nich Chopina, którzy mieli – mówiąc w uproszczeniu – wykazać, że Herz jest dobrym muzykiem, a krytyka była nieuzasadniona. Spór przerodził się także w publiczną awanturę, gdy podczas koncertu Herza grupa jego zwolenników pod kierunkiem niejakiego Billarda (ucznia Herza), obrzuciła Schlesingera wyzwiskami. Skończyło się pojedynkiem na pistolety, w którym ranni zostali obaj przeciwnicy. Doniesienia o tej sprawie ukazywały się w prasie, natomiast akta policyjne i sądowe zostały zniszczone w czasie Komuny Paryskiej, gdy komunardzi podpalili m.in. siedzibę Trybunału.

W wyniku tego heroicznego czynu nie dowiemy się, czy ostatecznie Chopin stanął jako świadek przed sądem i jaką opinię o Herzu tam wyraził, jak nie dowiemy się jeszcze o milionach zdarzeń z naszej przeszłości – tylko dlatego, że nie dotrwały do naszych czasów ich świadectwa...



Istnienie narodu opiera się na jego historii. Historia zaś opiera się na świadectwach – dokumentach, zapisach, obrazach. Gdy te świadectwa się zniszczy, podcina się korzenie narodu. Dobrze wiedział Hitler, że aby zniszczyć naród, trzeba zacząć od zniszczenia jego kultury – a więc też historii, zapisanej w jej świadectwach. Stąd jego planowe niszczenie archiwaliów, bibliotek, dokumentów. Ale nie Hitler to wymyślił: spalenie największej biblioteki świata starożytnego – Biblioteki w Aleksandrii – autorzy arabscy przypisują w 642 roku roku kalifowi Omarowi Pierwszemu, który miał powiedzieć: „Albo te księgi zawierają to samo co Koran, więc są niepotrzebne, albo coś innego, więc są szkodliwe“.

Biblioteka Krasińskich była dla Hitlera szkodliwa, gdyż zawierała świadectwa historii narodu, który miał być unicestwiony. Komunardzi paryscy, nie bez udziału dwóch polskich wodzów Komuny, generałów Jarosława Dąbrowskiego i Walerego Wróblewskiego, podpalili nie tylko urządzenia wojskowe, ale także obiekty cywilne z ich archiwami czy merostwo z metrykami ludności, a więc świadectwa istnienia pewnej klasy społecznej, którą chcieli odesłać w niepamięć.

A jak wyglądamy w skali jednostki: czy po zgonie dziadka czy babci nie wyrzucamy do śmieci zawartości jego szuflady, pełnej starych listów czy fotografii („bo komu się to przyda“?), zamiast spróbować zachować dla kolejnych pokoleń choćby niektóre z tych świadectw historii własnej rodziny? Gdyby zachował się choćby jeden skrawek listu – ten właściwy – może wiedzielibyśmy po 200 latach czy Fryderyk Chopin przyszedł na świat w 1809 czy 1810 roku?

PM

POMNIEJSZENIE ISTOTNOŚCI

Monika Mikołajek





Świadek funkcjonuje dla mnie nieodłącznie w kategorii - mniej wprost. W myślach słowo to bytuje mi w sposób niekonkretny, bladą nicią splata ledwie kilka obrazów, tworząc nikły, rozmyty wzór. Obrazy te, choć zdaje się tylko na dziś, wirują wokół scen dłoni ściskanych w umowie, dłoni usilnie wskazującej dowód w sprawie, dłoni zaciśniętej, ułożonej na piersi, jako znak przysięgi i wreszcie dłoni niecierpliwych, pozostających w geście, który towarzyszy próbującym po raz wtóry tłumaczyć swój brak winy. Być może, pierwszy napływ wrażeń wyostrza nieco charakter tego słowa, wiążąc go zbyt z czasem i bezczasem honoru, z czymś oficjalnym granym w najwyższym tonie. Tak, więc choć przy pierwszym spotkaniu starych i nowych myśli, powstałe zrazu między nimi antagonizmy wynoszą świadectwo na zbyt wysokie piętro odniesienia, tak z czasem, gdy te unifikują racje, słowo to spada na stopnie bliższe dowodowi zaufania aniżeli aktowi oskarżenia.

Na tym znaczeniu przystanę. W zależności od kontekstu dowód zaufania przesuwają się po linii rozpiętej między dosłownością a subtelnością. Zdaje się, że kontekst ten wyznaczony jest przez pewien stopień zażyłości w relacji między dwiema osobami, a także, choć co mniej istotne – przez ich temperament. Od osób, z którymi łączy wszystko, co prawdziwie bliskie, nie wymaga się przykleknąć, przysięg na wysokim akordzie, najjaśniejszych deklaracji i na bezdechu, tu, w każdej chwili czarnego na białym. W tej niedosłownej, choć tak wiadomej umowie cenimy pewne, choć niewypowiedziane, subtelne dowody, pozostające poza wszelkim kontraktem. Jedynie takie dowody zaufania jestem w stanie przyjąć – nieprzenicowane i wysnute. Zdecydowanie odrzucam bicie się w pierś, jako zbyt proste zagrożenie dla i tak skołatanych serc. Ze śmiechem dopuszczam za to wszelkie dowody zaufania w tak zwanych „interesach”, choć jedynie tych prowadzonych przez całą zawadiacką brać spod nie najjaśniejszej gwiazdy. Wystarczy wywodu, bo jak mam nadzieję - każdy, nie mam jasności w sprawie dowodu, szczególnie zaufania.

MM

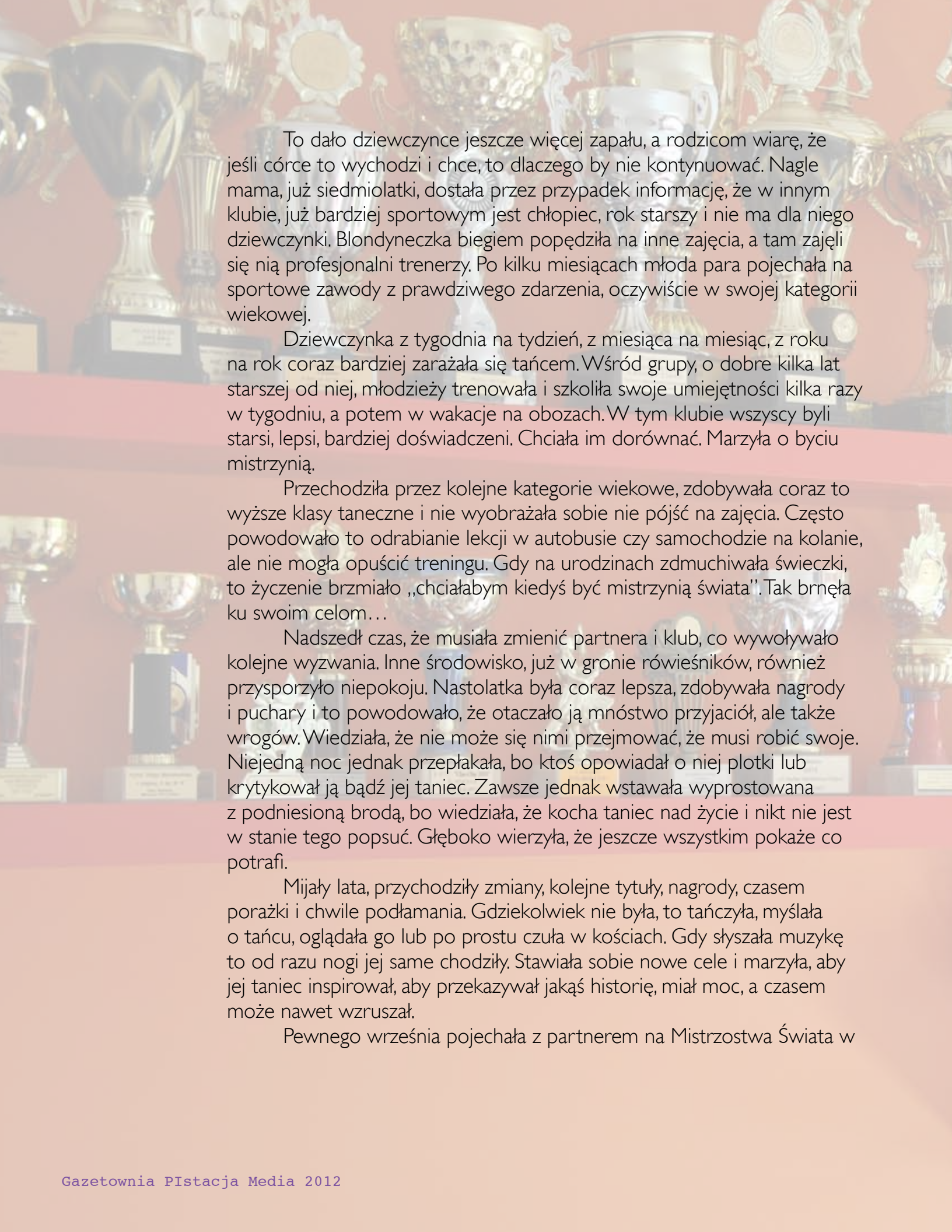
Świadectwo, czyli opowiem wam pewną historię...

Agnieszka Kaczorowska



Wszystko zaczęło się w przedszkolu. Mała dziewczynka o blond włosach i słodkim uśmiechu uczęszczała na lekcje rytmiki, gdzie wystukiwało się rytmy, uczyło kroczków, skakało i wymachiwało szarfami. Sprawiało jej to wiele radości. Gdy na koniec roku grupa średniaków miała swój pokaz, tańczyła jako jedna z dwóch pierwszoplanowych postaci i miała trudniejszą choreografię. Wtedy mama jej koleżanki zaproponowała, aby dziewczynka zapisała się na lekcje tańca poza przedszkolem. W oczach blondyneczki zaświeciły się isierki i z niewymuszonym entuzjazmem powiedziała mamie, że bardzo, ale to bardzo by chciała uczestniczyć w takich zajęciach. I tak, w wieku 6 lat, trafiła do grupy początkującej z tańca towarzyskiego.

Chętnych było mnóstwo dzieci, ale nie trudno się spodziewać, że dominowała płeć żeńska. Dla sześciolatki nie było już partnera, więc instruktor ustawił ją z większą i starszą dziewczynką. To nie zmieniło faktu, że mała była zafascynowana tańcem i z największą dokładnością wykonywała każde polecenie. Po pewnym czasie miał się odbyć turniej o nazwie „Mój Pierwszy Krok Taneczny”. Brały w nim udział wszystkie dzieci, które miały pary. Dwie dziewczynki również się załapały, choć były jedyne, tańczące razem - bez chłopców. Blondyneczka nie miała jeszcze nawet specjalnych butów do tańca i założyła zwykłą spódniczkę, która się ładnie kręciła. Nie były profesjonalnie przygotowane, ale mała miała w sobie niezwykłą, prawdziwą radość. Wystąpiły i ku zdziwieniu wszystkich - wygrały!



To dało dziewczynce jeszcze więcej zapału, a rodzicom wiarę, że jeśli córce to wychodzi i chce, to dlaczego by nie kontynuować. Nagle mama, już siedmioletka, dostała przez przypadek informację, że w innym klubie, już bardziej sportowym jest chłopiec, rok starszy i nie ma dla niego dziewczynki. Blondyneczka biegiem popędziła na inne zajęcia, a tam zajęli się nią profesjonalni trenerzy. Po kilku miesiącach młoda para pojechała na sportowe zawody z prawdziwego zdarzenia, oczywiście w swojej kategorii wiekowej.

Dziewczynka z tygodnia na tydzień, z miesiąca na miesiąc, z roku na rok coraz bardziej zarażała się tańcem. Wśród grupy, o dobre kilka lat starszej od niej, młodzieży trenowała i szkoliła swoje umiejętności kilka razy w tygodniu, a potem w wakacje na obozach. W tym klubie wszyscy byli starsi, lepsi, bardziej doświadczeni. Chciała im dorównać. Marzyła o byciu mistrzynią.

Przechodziła przez kolejne kategorie wiekowe, zdobywała coraz to wyższe klasy taneczne i nie wyobrażała sobie nie pójść na zajęcia. Często powodowało to odrabianie lekcji w autobusie czy samochodzie na kolanie, ale nie mogła opuścić treningu. Gdy na urodzinach zdmuchiwała świece, to życzenie brzmiało „chciałabym kiedyś być mistrzynią świata”. Tak brnęła ku swoim celom...

Nadszedł czas, że musiała zmienić partnera i klub, co wywoływało kolejne wyzwania. Inne środowisko, już w gronie rówieśników, również przysporzyło niepokoju. Nastolatka była coraz lepsza, zdobywała nagrody i puchary i to powodowało, że otaczało ją mnóstwo przyjaciół, ale także wrogów. Wiedziała, że nie może się nimi przejmować, że musi robić swoje. Niejedną noc jednak przeplakała, bo ktoś opowiadał o niej plotki lub krytykował ją bądź jej taniec. Zawsze jednak wstawiała wyprostowana z podniesioną brodą, bo wiedziała, że kocha taniec nad życie i nikt nie jest w stanie tego popsuć. Głęboko wierzyła, że jeszcze wszystkim pokaże co potrafi.

Mijały lata, przychodziły zmiany, kolejne tytuły, nagrody, czasem porażki i chwile podłamania. Gdziekolwiek nie była, to tańczyła, myślała o tańcu, oglądała go lub po prostu czuła w kościach. Gdy słyszała muzykę to od razu nogi jej same chodziły. Stawiała sobie nowe cele i marzyła, aby jej taniec inspirował, aby przekazywał jakąś historię, miał moc, a czasem może nawet wzruszał.

Pewnego września pojechała z partnerem na Mistrzostwa Świata w

Chinach. Po tym turnieju mieli się rozstać, bo się nie dogadywali. Po zdobyciu Mistrzostwa Polski szykowali się tylko do tych zawodów i ustalili, że potem każde szuka nowych współpartnerów. Tańczyli na luzie i niespodziewanie weszli do finału! To był pierwszy znak, że czołówka światowa jest do osiągnięcia, nawet dla Polski, która dotychczas nie wybijała się na arenie międzynarodowej. W głowie tancerki zapaliła się lampka - mogę i zrobię to!

Zgodnie z ustaleniami zaczęła treningi z nowym partnerem. Nie była pewna, czy to dobry pomysł, ponieważ chłopak nigdy wcześniej się nie wyróżniał, nawet w Polsce. Kiedy ona była pierwsza, on zamykał listę. Trener powiedział, żeby mu zaufała, bo czuje, że chłopak jest zdolny i że to będzie dobre połączenie. Zgodziła się, kierując się przekonaniem, że ciężką pracą można wszystko. Zmobilizowała siebie i wszystkich dookoła. Postawiła wszystko na jedną kartę. Cały tydzień przeorganizowała tak, aby trenować każdego dnia po kilka godzin, pamiętać również o siłowni i balecie, ale nie zaprzepaścić szkoły. Dawała radę, choć momenty były bardzo ciężkie. Gdy przychodził dzień, że ciało odmawiało posłuszeństwa i nie była w stanie się podnieść z łóżka, chciała się poddać, ale jakaś niewidzialna moc dawała jej kopa w tyłek i poszerzając swoje granice wytrzymałości, nie odpuszczała.

Po kilku miesiącach ciężkiej pracy, przyszedł ten dzień. Wyczekiwane Mistrzostwa Polski. Wygrali! Świadczyło to o tym, że czekają ich Mistrzostwa Europy i Świata. Cel był blisko. Czuła, że chce pokazać, że Polacy też mogą. Nie myślała o wyniku, chciała zatańczyć fenomenalnie i dać o sobie usłyszeć.

Wszyscy pytali ją skąd ma tyle motywacji i siły, i jak ona to wszystko godzi, ale dziewczyna odpowiadając tylko, że trzeba być dobrze zorganizowanym, sama nie do końca wiedziała jak to możliwe. Kochała taniec i stąd czerpała energię. Była szczęśliwa. Miała pasję.

Pod koniec kwietnia 2010 roku, w Linz, w Austrii, stanęła wraz z partnerem na najwyższym stopniu podium, usłyszała polski hymn, ze złotym medalem na szyi i pucharem w ręku... płakała. Spełniło się marzenie małej blondyneczki, która lubiła tańczyć. Nazwali ją mistrzynią świata.

AK

WYJDŹ PONAD ZWYKŁĄ KONCEPCJĘ DOBREGO CZŁOWIEKA.
NIE BĘDZIESZ ANI DOBRY ANI ZŁY. BĘDZIESZ PO PROSTU
UWAŻNY, ŚWIADOMY, A COKOLWIEK SIĘ ZDARZY BĘDZIE DOBRE.
OSHO





JEŚLI JESTEŚ ŚWIADOMY, NIE MUSISZ KONTROLOWAĆ GNIEWU;
W STANIE ŚWIADOMOŚCI GNIEW NIGDY NIE PRZYCHODZI. TE
DWIE RZECZY NIE MOGĄ ISTNIEĆ RAZEM...
OSHO









PATRZYMY NA WSZYSTKICH, TYLKO
NIE NA SAMYCH SIEBIE, TOTEŻ
ZNAMY INNYCH LEPIEJ NIŻ SIEBIE.
O SOBIE NIC NIE WIEMY.
OSHO

foto Katarzyna Bogucka



Moda w II połowie XX wieku

Klaudia Ofara

W drugiej połowie XX wieku możemy zauważyć wiele przemian modowych, spowodowanych niesamowitym rozwojem przemysłu. Niosło to za sobą coraz więcej nowości, stylów i fasonów, a styl uliczny wkroczył na wybiegi. Jasne stało się, że to ludzie i ulica zaczynają inspirować artystów, a moda jest dziedziną pełną przemian.

W latach 60. tym co mocno wpływało na modę była muzyka oraz jej twórcy, a także gwiazdy kina. Grupa The Beatles stała się jednym z najbardziej rozpoznawalnych zespołów świata, których styl był powielany przez mężczyzn. Promowali oni swoim stylem proste i klasyczne garnitury, które łączyli z golfami, a także buty sztyblety i spodnie przed kostkę. Charakterystycznym elementem były także kaszkiety oraz małe okrągłe okulary wysławione przez jednego z członków – Johna Lennona, od którego nazwiska noszą nazwę lenonki.

Jedną z najsłynniejszych projektantek tamtego okresu była Mary Quant, czyli twórczyni spódniczki mini. Krój ten stał się symbolem rewolucji seksualnej i wyzwolenia kobiet. Jest ona bowiem znakiem końca konserwatyzmu, surowości czy uległości kobiet. Poza stworzeniem krótkiego kroju, Mary Quant była propagatorką rozszerzenia przemysłu i rozpowszechnienia swoich projektów nawet poza granice kraju. To właśnie w latach 60. moda zaczęła mocno migrować i rozszerzać się na cały świat.

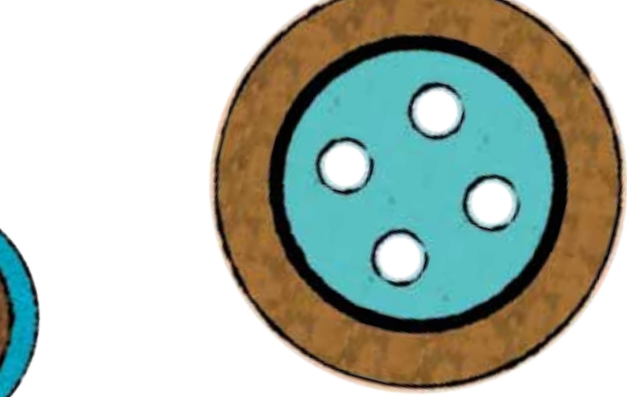
Następnym elementem modowym, który wypływał z nurtu muzycznego był

styl hippisów. Wybierali oni luźne kroje, koszule w kwiaty oraz rozszerzane spodnie i rękawy. Na rękach nosili wiele bransoletek z koralików, rzemyków oraz nieodłączne pacyfki. Charakterystycznym elementem była także bandamka. Ruch hippisowski głosił wyzwolony styl życia, wolny od zakazów i nakazów oraz dorosłego świata. Za czołową przedstawicielkę nurtu hippisowskiego w muzyce można uznać Janis Joplin, która w swoich tekstach odwoływała się do wyznawanych ideałów, a także promowała sobą styl hippies.

Kolejną subkulturą związaną z muzyką był punk. Młodzi ludzie głosili tu hasła: „no future”, czyli nie ma przyszłości i nie wierzyli w sens polityki i władzy. Największym środkiem ich ekspresji była głośna i wulgarna muzyka, czyli punk rock. Jednym z najważniejszych elementów stroju, który do dziś jest ceniony i noszony jest skórzana kurtka, czyli ramoneska, która weszła do powszechnego stylu ulicznego. Poza skórą wybierali powycierany i porozcinany jeans, w który wpinali agrafki. Nieodłącznym elementem stała się także koszula w czerwoną kratę. Jednym z pierwszych przedstawicieli punka był zespół Sexy Pistols, który współpracował z dopiero co zaczynającą ówczesznie projektantką Vivienne Westwood. Artystka do dziś nazywana jest matką chrzestną punk rocka, a czerwona krata występuje wciąż w wielu jej kolekcjach. Jednym z najbardziej znanych projektów Brytyjki jest także koszulka z napisem „Good save the Queen”, czyli Boże chroń królową.

Kolejnym trendem jest powstały w latach 70. styl disco. Obcisłe fasony, neonowe kolory oraz połyskujące tkaniny stały się hitem, a złote i srebrne przeszycia miały na celu mienić się w dyskotekowych światłach. Zespół ABBA swoimi hitami podbijał wszystkie listy przebojów. Za czołowego projektanta tego okresu należy uznać Calvina Kleina, który poprzez swoje reklamy od początku szokował. Pierwsza reklama jego jeansów z Brook Shields ubraną tylko w nie, była uwieczniona napisem: „Wszyscy wiecie co dzieje się pomiędzy mną a moim Calvinem. Nic.” Klein jest twórcą nowoczesnego stylu eleganckiego. Skórzaną spódnicę połączył z golfem





i kozakami, przeplatając je kontrastowymi kolorami. Promował ten wygląd jako wygodny, codzienny strój biznesowy dla kobiet. W swoich projektach wykorzystywał także często pionowe, wąskie pasy obecne w każdym elemencie stroju.

Po latach, w których za główny element inspiracji można przyjąć muzykę, nadeszły lata pełne kiczu, czyli lata 80. Był to okres totalnego mieszania stylów i zakładania na siebie różnych rodzajów garderoby. Modne ponownie stały się poduszki na ramionach, które wyraźnie przerysowywały ich linię oraz paski mocno podkreślające talię. W latach 80. po raz pierwszy zaadaptowano styl sportowy do mody codziennej. Bluzy, luźne koszule, a także spodnie z obniżoną linią bioder były rekordy popularności, szczególnie wśród młodzieży. Telewizja muzyczna promowała mocno ten styl.

Spośród projektantów tego okresu warto podkreślić rolę Jeana Paula Gaultiera, który swoim innowacyjnym podejściem do mody zaskarbił sobie miejsce dyktatora modowego i objął stanowisko dyrektora artystycznego w słynnym domu mody Hermes. Wypropagował on w latach 80. noszenie bielizny jako normalnej części garderoby i zaprojektował słynny gorset Madonny do jej trasy koncertowej ze szpiczastymi miseczkami. Do tego jest jednym w pierwszych twórców mody unisex, czyli fasonów, które mogą nosić zarówno kobiety jak i mężczyźni.

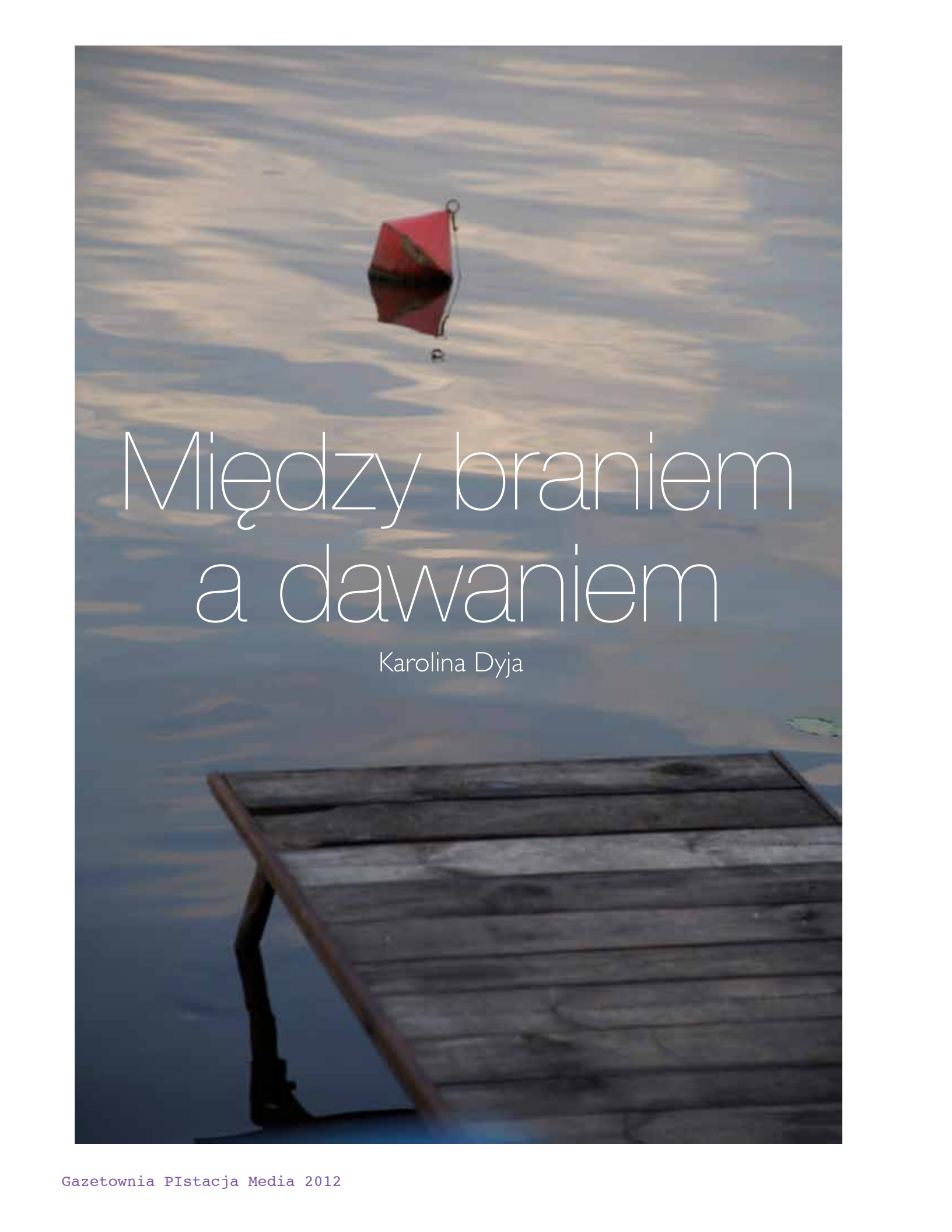
W latach 90. powodzeniem cieszyły się głównie trzy style. Pierwszy to grunge, którym była moda na noszenie brudnych i porwanych rzeczy oraz niedbanie o swój wizerunek. Jego przedstawicielem był Kurt Cobain z zespołu Nirvana. Kolejnym nurtem stała się wypromowana przez Helmuta Langa moda na minimalizm. Klasyczne, proste kroje, eleganckie i zadbane ubrania, przy których buty i dodatki stanowiły idealne dopełnienie. Stonowane kolory, czysta biel i głęboka czerń stanowiły jej nieodłączny element. Dla mężczyzn projektant tworzył eleganckie garnitury i starannie skrojone koszule, natomiast dla kobiet dopasowane i eleganckie suknie. Trzecia tendencja to moda na asymetryczne kształty, mocne wycięcia, łączenie miękkich materiałów z twardymi czy wprowadzenie wystrzępionych fasonów.

Świetnym przedstawicielem tego nurtu jest belgijski projektant Martin Margiela, który do dziś tworzy charakterystyczne, uduchowione stroje. Należy wspomnieć tu także o modzie na odkryty brzuch oraz zwierzęce motywy, które panowały przez całe lata 90.

To co zmieniło się najwidoczniej w modzie w drugiej połowie XX wieku to zdecydowanie uprzemysłowienie mody i jej rozwój poza granice kraju pochodzenia. Spowodowało to nie tylko mocne zainteresowanie, ale także coraz to nowe modowe tendencje. Świadectwem na rolę mody XX-wiecznej w ówczesnych latach, jest fakt, że obecnie większość trendów jaka pojawia się na rynku jest powielaniem i odświeżaniem wzorów poprzednich lat. Nawet najwięksi twórcy z wielkich domów mody naśladują styl poprzedników i wracają do korzeni. Chociażby Karl Lagerfeld, dyrektor artystyczny domu mody Chanel wciąż tworzy stroje w stylu słynnej projektantki, jednak w odświeżonej wersji, np. klasyczny sznur pereł zastąpił perłami różnej wielkości w asymetrycznym splocie. Udowadnia to, że moda i stroje wciąż są inspiracją i mogą stanowić ponadczasowy element kultury. Druga połowa ubiegłego wieku dowodzi także, że wyzwolenie dało szansę na wybieranie w modzie własnej ścieżki. Podobnie jest teraz, każdy ma prawo do własnego stylu oraz do osobistych upodobań modowych, a z miszmaszu powstających rzeczy, może wybrać to w czym najlepiej wyrazi siebie.

KO



A photograph of a red buoy floating on a body of water. The sky is filled with soft, white clouds. In the foreground, a wooden pier or dock is visible, extending from the bottom left towards the center. The water is calm, reflecting the sky and the buoy.

Między braniem a dawaniem

Karolina Dyja

Podczas dzisiejszej – wyjątkowo długiej – rozmowy na Skypie, brat chwalił się ocenami i widokami na całkiem dobre świadectwo. Pochwalałam Młodego ze szczerego serca i wyraziłam siostrzaną dumę. W końcu czwórka z matematyki na świadectwie to nie było co; zwłaszcza, jeśli pochodzi się z rodziny typowych humanistów. Ostatni raz dostałam świadectwo prawie rok temu. Indeksu nie mam, posiadam za to konto w mega

postępowym systemie elektronicznym. Jednym słowem, koniec z dokumentowaniem naukowych osiągnięć (w tym miejscu powinno nastąpić mocno nostalgiczne westchnienie i zaduma nad upływającym czasem...).

Zaraz, zaraz – pomyślałam po chwili. Nie jest tak źle. Dostawanie świadectw należy już do przeszłości, ale nadszedł czas na coś poważniejszego. Teraz, dorosła i samodzielna, mogę zacząć dawać świadectwo!

Zaczynając od najprostszego, codziennie mam okazję pokazać cały wachlarz zachowań podpadających pod szeroko pojętą kulturę osobistą. W końcu nie żyjemy na bezludnej wyspie, stykamy się z ludźmi – w pracy, na uczelni, w autobusie. Osobiście czerpię jakąś radość z bycia uprzejmą; wtedy sama czuję się lepszym człowiekiem. A jeśli do tego uda mi się przełamać nieśmiałość i uśmiechnąć się do kogoś bez powodu, zaczynam czuć się jak ktoś rozdający promyki słońca. Niby drobiazg, a może kogoś cieszy.

Codziennie mogę też dawać świadectwo „pracy” moich rodziców; w końcu to, jak się zachowuję, to efekt ich wychowania. No cóż... mam nadzieję, że są zadowoleni.

Ostatnia rzecz – dawanie przykładu. Całkiem niedawno zostałam zapędzona do porządków. Pech chciał, że upuściłam jedną z moich drogocennych figurek – bibelotów o wielkiej wartości sentymentalnej. Jako osoba dość nerwowa, odpowiednio skomentowałam sytuację.

– Nie przeklinaj – upomniął mnie brat.

– Dlaczego?

– Bo ja biorę z ciebie przykład – wyjaśnił, jakby była to najnaturalniejsza rzecz na świecie.

Rada, nierada, musiałam ustąpić i zacząć się pilnować. W końcu bycie przykładem dla młodszego pokolenia to nie było co!

KD

WIEDŹMA

Katarzyna Bartsch-Cielebon
powieść w odcinkach
cz. XX

Wraz z powiewem wiatru do komnaty wszedł Thomas, a za nim wyspało się kilku jego towarzyszy. Wracali znad brodu, który po jesiennych deszczach stał się trudny do przebycia. Oceniali możliwość rozlania się rzeki na okoliczne pola. Ale chwilowo jeszcze daleko jej było do wystąpienia z koryta. Tylko przeprawa była utrudniona. Wręcz niemożliwa. No, ale cóż, taki czas. Chłód, który teraz wnieśli wstrząsnął ramionami kobiet. Kilka słów, kilka rzuconych uwag. Pani, zauważyła, że Thomas nawet nie spojrzał na swoją żonę. Zrzucił opończę na fotel i podszedł jak inni ogrzać zmarznięte dłonie przy kominku. Dziewczyna zaś leciutko się skuliła, zmaląła i posmutniała jeszcze bardziej. Wycofała się z zasięgu światła. To się pani

nie podobało. Powinna z nim porozmawiać. Odczekała moment, gdy po południowym posiłku, wszyscy zajęli się swoimi sprawami. Widząc, że syn chce wyjść na podwórze zawołała go do swojej sypialni. Przyszedł, spoglądając podejrzliwie.

– Synku – zaczęła delikatnie pani – powiedz, jesteś szczęśliwy?

– Jestem – odparł, starając się przejrzeć jej zamiary.

– Bo widzisz, tak mi się coś zdaje, że to małżeństwo, jakoś nie przynosi ci zbyt dużo zadowolenia – ciągnęła pani – ale może tylko tak mi się zdaje.

– Tylko ci się, matko, zdaje. Jest wszystko w porządku.

– To dlaczego nie rozmawiasz ze swoją żoną? Dlaczego do niej nie zagadujesz, nie przytulasz?



– powiedziała gniewnie, porzucając łagodny ton.

– Skarżyła się?

– Nie.

– To o co chodzi? Ożeniłem się, tak jak chciałaś, a teraz niech ona przystosuje się do mnie i będzie szczęśliwa – wzruszył ramionami – zapytaj ją czy ją zaniedbuję? Czy nie jestem codziennie w jej łóżu. Tego wszak chciałaś – rozłożył ręce dla poparcia swojej niewinności i bez zasadnych zarzutów – jak urodzi, będzie miała zajęcie i nie będzie miała czasu na smutki. Zobaczysz – rzekł ugodowo.

– Za Lucindą ganiałeś jak pies – prychnęła matka – dziewczyna na moment nie miała spokoju, a teraz dla Ursuli nie masz chwili, aby jej ją poświęcić?

– Nie zaczynaj, matko! – złowrogo

powiedział Thomas – nie ja chciałem się żenić, niech więc zostanie tak jak jest. Jest dobrze! – rzucił gniewnie. Potem zawinął się i trzasnąwszy drzwiami wyszedł z komnaty.

Kobieta opadła na krzesło z ciężkim wydechem. To nie była łatwa sytuacja. Ale może miał rację. Dziewczyna urodzi... No cóż... Może miłość przyjdzie z czasem? Przynajmniej nie jeździ na te swoje „wyprawy”. Wypuściła powietrze raz jeszcze. Tyle dobrze. Zakryła usta dłonią. A jeżeli znowu, coś przy porodzie źle pójdzie? Nie, nie można tak myśleć. Lucinda była postawna i nie wytrzymała trudów urodzenia dziecka. Medycy coś tam mówili, że krew się zakaziła, ale kto ich tam wie. Ursula jest drobniejsza, prawie takie chucherko, ale może



jej to się uda. A potem, jak przyjdzie dziecko, to i między tymi dwojgiem będzie lepiej. Westchnęła. Dopięła swego, teraz może spokojnie umierać. Ale zdecydowanie jej się nie chciało. Była silna, pełna energii. Nie była jeszcze taka stara. A poza tym była teraz najszczęśliwsza w życiu. Thomas ożeniony. Ulryk rozwija się bardzo dobrze. Kochany, jasny sokół przy cesarzu też jest na pewno szczęśliwy. Ba, zakochany. Uśmiechnęła się promiennie do siebie, przypominając sobie roześmianą twarz Henryka. Może i przyjedzie już żonaty. Też żonaty. Uśmiechnęła się ponownie.

Brzuch Odiny rósł. Mijały kolejne dni. Kolejne miesiące. Zrobił się naprawdę duży i Marianna przykładając dłoń do jego

szczytu mówiła, że lada chwila będzie ich więcej. Nadeszło święto Ostara. Kończyła się zima, a zaczynała wiosna. Świat budził się z zimowego snu. Przyszła pora poświęcenia nowo sadzonych roślin i błogosławienia ziemi, aby wydała dobre plony. Marianna szykowała się do obchodów, zbierając w jedno miejsce różne nasionka i sól. To było bardzo ważne święto. Mieszkańcy wsi także szykowali się po swojemu. Uprzątali izby z nagromadzonych zimowych brudów. Wysypywali czystym piaskiem klepiska. Kolorowali jajka za pomocą łupinek cebuli czy pędów pszenicy. Nadszedł wreszcie dzień zrównania nocy z dniem. Wszyscy zebrali się na placu, gdzie w lato odbywały się niedzielne zabawy, a który graniczył z początkiem pól. Każda rodzina

czas twarze
opalać i łądźwie
- już lato!

trzymała koszyk z kolorowymi jajkami. Także Biorg i jego rodzina brali udział w całej uroczystości. Lena niechętnie, ale jednak musiała przyznać, że z tradycją nie należy walczyć. Przygotowała jajka i wraz ze wszystkimi udała się na główny plac. Nienawidziła myśli, że będzie musiała uczestniczyć w ceremonii prowadzonej przez tę diabelską wiedźmę. Żeby ją ziemia pochłoneła. Nie była w stanie zapanować nad swoimi uczuciami. Ile razy mogła wypominała Biorgowi jego niewierność. Dzieci zaczęły się im przyglądać ze zdziwieniem, kiedy urządziła kolejną kłótnię. Po prostu nie potrafiła sobie z tym poradzić. Jej Biorg, ten kochający i oddany mąż, całował się z inną kobietą? Ile razy ją oszukał? Ile razy ją zdradził? A przecież nie miał

powodu! Czyż nie rodziła mu dzieci i nie wychowywała ich przykładnie? Czyż była mu nieposłuszna? Jej Biorg... Jej Biorg... A teraz musiała patrzeć jak tamta, smukła i jasna, zakrywa dłońmi twarz. Jak się wyciąga ku niebu. Obraca i wznosi ręce do słońca. Dlaczego ona jest taka młoda? A teraz schyla się do ziemi i szepce jej jakieś słowa i tańczy na polu. A wszyscy się jej przyglądają. Dlaczego ona jest taka lekka? Jakby wiatr ją niósł. Przychyla się do ziemi i rozsypuje sól. Znowu się kieruje do słońca. Kolejny obrót. Ona ich chyba nie widzi. Nie patrzy w ich stronę. Lena z chęcią by złapała ją za te jej długie, jasne włosy i wepchnęła tę twarzą w rozmiętą po zimie ziemię. Ale niestety... nie może tego uczynić. Wszyscy by to widzieli,



a przecież jest poważana i szanowana wśród mieszkańców. Uśmiechnęła się do siebie pod nosem. Jeszcze jej pokaże. Chwilowo zaś tak jak wszyscy inni wygrzebała dołek na ich polu i wsunęła pierwsze jajko. Potem obeszli z całą rodziną brzeg i zakopali kolejne. W podobny sposób obeszli pozostałe krańce pola. Tak jak wszyscy.

Marianna zaś na każdym polu zasiewała swoje ziarna. Kiedy doszła do pola Biorga, napotkała wrogie spojrzenie Leny. Pomimo to przychyliła się i zagryzając wargi zasadziła kilka nasion. Podnosząc się ujrzała jednak oczy Biorga i coś ją ścisnęło w sercu. Dzieci za rodzicami ciekawie podglądały co się dzieje na ich polu. Podrosły. Nawet ta najmniejsza stała już

o własnych siłach. Marianna uśmiechnęła się i poszła dalej sadzić nasiona rumianku, dziurawca i dębu. Miały przynieść plony i ochronić pola przed nieurodzajem i zniszczeniem. A potem była uczta. Tak wyczekiwana. Radosna i śpiewna. Wspólna dla wszystkich. Pojawiło się ukryte przezornie piwo, upieczony prosiak i słodkie placki. W uczcie wzięła udział także Marianna i Odina z dobrze widocznym brzuchem. Kobiety poszeptywały na ich widok.

– Widzisz, córka poszła w ślady matki, też pewnie ladacznica jaka – szepnęła złośliwie na ucho Lena do Biorga – ciekawe kogo ta młódka uwiodła?

– Daj spokój kobieto – powiedział urażonym głosem mężczyzna – jest święto, nie wyciągaj brudów.



– A widzisz, więc ty też myślisz, że to dziwka – triumfalnie odpowiedziała żona.

– Lena, bardzo cię proszę, abyś nie zaczynała przy ludziach – warknął cicho – uszanuj święto.

– Takie tam święto, jeśli ładacznicą je prowadzi – prychnęła wyniośle – a tobie bym radziła się tak za nią nie ujmować, bo ci duszę zabierze.

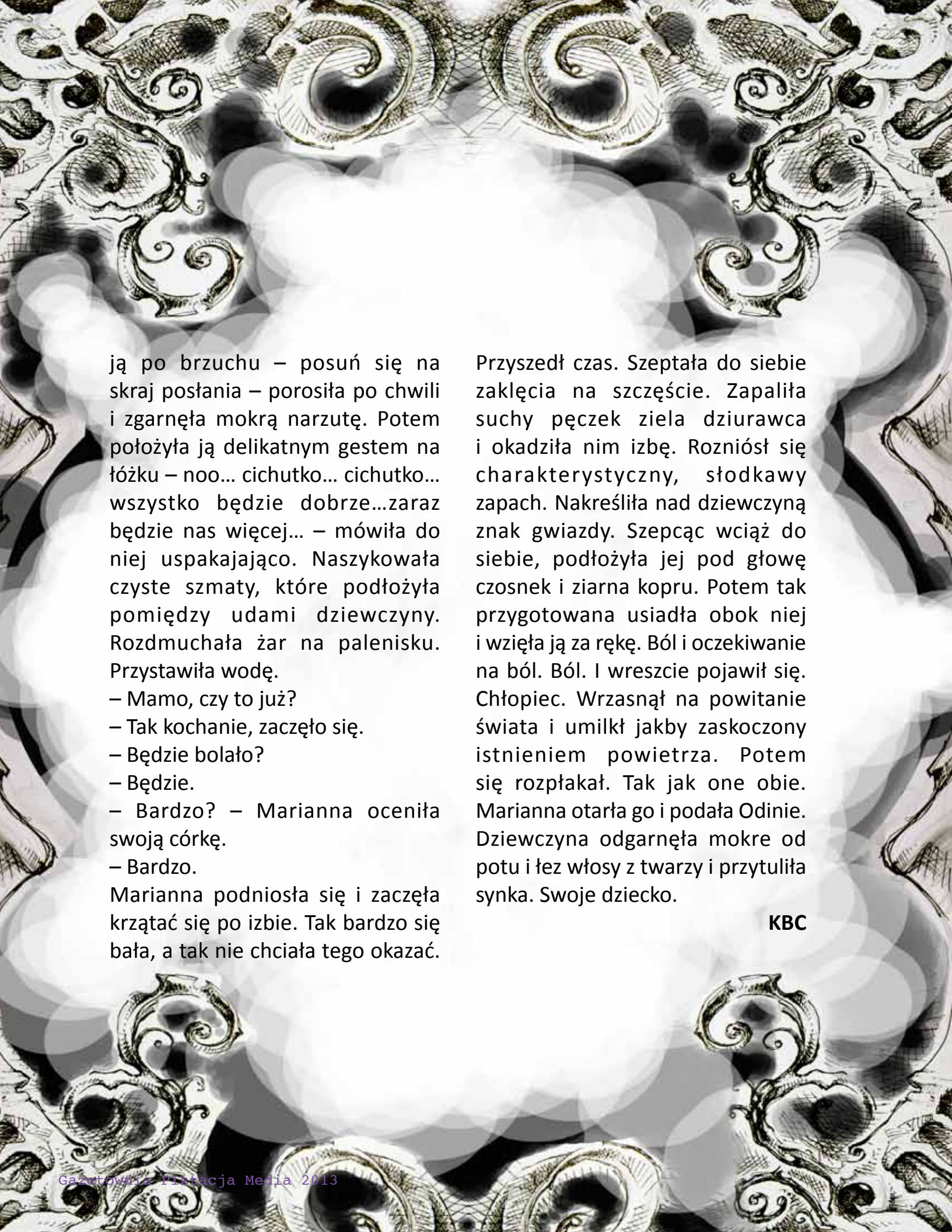
– Lena! – prawie krzyknął, a kilka najbliższych osób zwróciło się w ich stronę. Wykonał grymas twarzy, który miał przypominać uśmiech. Wiedział, że ją zawiódł, ale to nie była jego wina. Czy w ogóle to była czyjaś wina? Zerknął ukradkiem w stronę roześmianej Marianny. Rozmawiała z Knutem. Bolało go to. Chciałby być z nią sam. Na całej ziemi. Sam. Chociaż dzień, godzinę. Żeby wszyscy znikli,

a oni zostali. Pamiętał jej dotyk. Jej pocałunki. Jej usta. A teraz... Nawet nie mógł się do niej zbliżyć. Czas mijał. Zbliżał się wieczór. Śpiewano i weselono się tak głośno, na ile pozwalały gardła i instrumenty. Jedzono i pito, aby zapomnieć o smutnych, mroźnych dniach. Zima została przegnana.

Ten moment nadszedł wraz ze wschodem słońca. Odina poczuła, że jest jej mokro i obudziła się. Z przerażeniem spostrzegła, że leci z niej woda. Falami wypływała z jej brzucha.

– Mamo! – krzyknęła przerażona – mamo! – ale Marianna już też się obudziła. Spojrzała na córkę. Odina wskazała jej poślanie. Była wystraszona.

– Dobrze już, dobrze – pogłaskała



ją po brzuchu – posuń się na skraj pośłania – porosiła po chwili i zgarnęła moką narzutę. Potem położyła ją delikatnym gestem na łóżku – noo... cichutko... cichutko... wszystko będzie dobrze...zaraz będzie nas więcej... – mówiła do niej uspakajająco. Naszykowała czyste szmaty, które podłożyła pomiędzy udami dziewczyny. Rozdmuchała żar na palenisku. Przystawiła wodę.

– Mamo, czy to już?

– Tak kochanie, zaczęło się.

– Będzie bolało?

– Będzie.

– Bardzo? – Marianna oceniła swoją córkę.

– Bardzo.

Marianna podniosła się i zaczęła krzątać się po izbie. Tak bardzo się bała, a tak nie chciała tego okazać.

Przyszwał czas. Szeptwała do siebie zaklęcia na szczęście. Zapaliła suchy pęczek ziela dziurawca i okadziła nim izbę. Rozniósł się charakterystyczny, słodkawy zapach. Nakreśliła nad dziewczyną znak gwiazdy. Szepcząc wciąż do siebie, podłożyła jej pod głowę czosnek i ziarna kopru. Potem tak przygotowana usiadła obok niej i wzięła ją za rękę. Ból i oczekiwanie na ból. Ból. I wreszcie pojawił się. Chłopiec. Wrzasnął na powitanie świata i umilkł jakby zaskoczony istnieniem powietrza. Potem się rozplakał. Tak jak one obie. Marianna otarła go i podała Odinie. Dziewczyna odgarnęła mokre od potu i łez włosy z twarzy i przytuliła synka. Swoje dziecko.

KBC

Anna Błachucka

Sonet z PI-kotką-m

Wielka sensacja! Już węższą pisarze!
Serca podpala uroczy Pi-Roman,
Krew w lodowatej zawrzała Pi-Sarze,
Lecz na tym nie chce poprzestać piroman.

Z Basieńką na noc skrył się do pirogi,
Martynę w lutym zabrał na Pi-sanki,
Z Klaudią przyprawiał mężowi Pi-rogi
Z Kasią malował świąteczne pisanki.

U wielu siadał chętnie przy Pi-stole,
Przywoził w darze piwo i pistacje,
Badął, gdzie dama ukrywa pistole

I brał! Ślad kryły rozliczne Pi-stacje.
Gdy go koila Jola, woda, pianka
- wpadł! - gdyż tam wpadła przebiegła Pi-Anka

Świadectwo

Anna Ciemniecka



Miłość promieniejąca w jej oczach, a także w oczach pięciorga jej dzieci, urodzonych i adoptowanych, wszystkich – narodzonych z serca. Miłość w oczach gromadki wnuków, siostrzeńców i bratanków oraz ich dzieci, a także brata i siostry. Miłość w oczach licznych przyjaciół i kilku przygarbiętych z ulicy, wydobytych z różnych tarapatów zwierzaków.

Rozdane bogactwo dobrych słów, ciepłych gestów, otulających spojrzeń, majątek cennych rad udzielanych z wyczuciem, ratujących w sprawach od malutkich do wielkich. Ofiarowane przepisy na niezawodne kluski, ulubione babeczki, lecznicze napary, pożywne zupy i na szczęśliwe życie – te ostatnie tylko w formie podstawowych, najważniejszych składników, bez których nic się nie uda, z życzeniami udanego dopełnienia receptury po swojemu.

Poświęcone każdemu wiele czasu, wynalezione, chociażby zdawało się to niemożliwe, pośród nawału pracy, po to by wysłuchać, wesprzeć, pocieszyć, „być przy”, „towarzyszyć w”, w pełni dzieląc się sobą. Podarowany każdemu ogromny kawał serca, zdającego się mieścić w sobie wszystkich i wszystko ogarniać swym płomieniem. Sprezentowane nie dużo przedmiotów, bardzo dużo dobrych wspomnień, autentycznego i ubogacającego współistnienia – tego świątecznego i tego codziennego. Częste czynienie i tego zwyczajnego wyjątkowym.

Darowana niepoliczalna ilość czułych uścisków, otuleń ogrzaną kołdrą w zimną noc, czuwań przy rozgorączkowanym łóżku, otarc łez z policzków, ukojeń bólu rozbitego kolana i złamanego serca.

Wygospodarowane kawałki podłogi na legowisko i miski dla kolejnych znalezionych futrzastych „kupek nieszczęścia” i uczynienie ich szczęśliwymi członkami swojego stada. Rozmnożone tam, gdzie potrzeba kromki upieczonego własnoręcznie chleba, kolorowe, ciepłe czapki na zimę, garnuszki z karmą i rozgrzewającym rosółem, kosze owoców z ogródka, grosze „na czarną godzinę”, która przychodziła zawsze, gdy komuś było trudno. Niezliczone wyciągnięcia pomocnej dłoni, oczy nieomylnie zauważające troski innych, uszy słyszące nawet niewypowiedziane prośby. Mnóstwo drobnych gestów, które powoli zmieniają cały świat, a szybko świat osób, wobec których zostały wykonane.

Wybaczone to, co do wybaczenia, na bieżąco, nieodkładane na później, na za późno. Dodane mnóstwo odwagi, zainspirowane wiele pożytecznych działań.

Pusta lista rzeczy budzących żal, że się ich nigdy nie zrobiło, krótka w ogóle żalowanych, a i te troskliwie zacerowane, poskładane. Żadnych słów niewypowiedzianych, a ważnych i potrzebnych, które by bolały, że się nie zdążyło... Czas starannie nie marnowany, wypełniony tym, co naprawdę istotne.

Zmarszczki najwyraźniejsze te od śmiechu, a uśmiech do końca, taki prawdziwy, rozświetlający. Spokój. Pogodne spojrzenie za siebie i przed siebie. Zostawiony porządek. Pozostawiony głęboki ślad w życiu wielu osób – mocno odcisnięte serce. Zostawiana i zabierana miłość.

Miłość jak płomień świecy – zapalający inne. Nie zgaśnię.

Ostatnie świadectwo. Najważniejsze. Dla niej – wzorowe.



Niewierny Tomasz

Paweł Radźko

Może czasem warto zacząć od myśli smutnej, by dojść do idei zgoła optymistycznych. Moją smutną myślą byłby tu fakt, że w dzisiejszym świecie lepiej żyłoby się niewiernemu Tomaszowi. Otóż Tomasz to typ człowieka, który potrzebuje dowodu. Ta mentalność nieprzerwanie kieruje nauką (co zresztą jest rzeczą jak najbardziej właściwą, choć nie zawsze, gdy wyznawana jest niczym dogmat) oraz, co gorsza, życiem społecznym. Pomijam kwestię wiary, bo wierzący nie potrzebuje dowodów. Nasze relacje z przyjaciółmi, znajomymi, sąsiadami, czy nawet z klientami, petentami lub partnerami w biznesie powinny opierać się na – przynajmniej częściowym – zaufaniu wzajemnym, podczas gdy wydaje się ono wybitnie wręcz ograniczone.

Rodzina jest podstawową komórką społeczeństwa. I całe szczęście. Jej członkowie genetycznie są mniej lub bardziej skłonni do współpracy, a także do zaufania (nie chcę nikogo moralizować, ale powinni być). Na tym polu problemu właściwie nie ma.

Za to na stronę znajomych jesteśmy nieco uprzedzeni. Jeżeli ktoś nie jest z charakteru łatwowierny, to wydaje się mieć nawyk do podawania w wątpliwość prawie wszystkich treści, które odbiera. Szuka dla nich poparcia. Jest to niezaprzeczalnie słuszną i skuteczną taktyką, ponieważ pozawala na wykrywanie rzeczy karygodnej, a mimo to opłacalnej – oszustwa.

Podobnie też postępuje cały aparat władzy, instytucje państwowe, każdy drobny

urzędnik, czy chociaż konduktor w pociągu. Biurokracja lubuje się w papierkach, a najpopularniejszym ich rodzajem, tuż po listach i spisach, są dowody tożsamości, zawarcia transakcji albo umowy, ba, nawet dowody przyjscia na świat (tak jakby można było inaczej). Co ciekawe nie jest to obce instytucjom kościelnym, które same stają się niewiernym Tomaszem.

Te dwa przykłady są jednak diametralnie różne. Drugi przypadek da się zrozumieć. Oto na przykład przychodzi Kowalski do banku i chce wypłacić 15 tysięcy euro. Aż się prosi, by sprawdzić czy ten Kowalski to Kowalski, a nie na przykład Nowak, który za Kowalskiego się podaje. Pierwszy przypadek powinien być postrzegany jako błąd. Do pewnego stopnia. Otóż, by społeczeństwo działało lepiej niż jakotako potrzeba zaufania społecznego. Im więcej, tym lepiej. Choć bez przesady, ponieważ oszuści byli, są i będą. Ciekawym przykładem – który, o ironio, rzucam jako dowód – jest porównanie pod względem zaufania społecznego oraz szczęścia obywateli naszej Polski oraz Norwegii. U nas ufających obcym jest plus minus 40 procent mieszkańców, na północy jest to liczba zbliżona do 80 procent. Dobrobytu porównywać chyba nie muszę.

Tak więc, koniec końców wesołą pocieszającą myślą będzie: można sobie zaufać. Resztę, czyli wykonanie, pozostawiam Wam, bo tylko od Was zależy, czy tak będzie.

PR

Dowód ostateczny

Michał Lewandowski



Fizyka, czyli nauka o tym co nas otacza, ma jedną niepodważalną zaletę, działa. Ale skąd wiemy, że działa, oraz czy na pewno działa wszystko. Czy mamy jakieś świadectwo na to, że to wszystko prawda?

Każda teoria fizyczna, każde prawo i twierdzenie zanim zostanie wydrukowane w książce od fizyki musi przejść długą, albo i nie, drogę weryfikacji. W dawnych czasach sprawa teza-dowód wyglądała bardzo prosto. Otóż wszystko było odwrócone. Przyroda sama,

bez żadnych wspomagaczy, dostarczała nam dowodów na swoje prawa, a potem trzeba było wymyślić jakieś twierdzenie które opiszą to co się widzi. Że jabłko spada, że po wejściu do wanny woda się podnosi, że mamy dzień i noc. Oczywiście czasem ludzie dochodzili do złych teorii, które wypaczały wizję świata, na przykład, że ziemia stoi na czterech słoniach i jest płaska, albo że planety poruszają się po epicyklach. Ale wcześniej czy później ludzkość wysnuła poprawne tezy na podstawie tego co widzieli.

Problem zaczął się kiedy wszystko to co w miarę proste zostało już opisane. No bo wiemy czemu woda wrze, czemu zamarza, czemu Księżyc krąży wokół Ziemi oraz czemu statki nie toną mimo, że są ciężkie. Ale bawiąc się nauką, człowiek czasem dojdzie w swoim rozumowaniu czy też obliczeniach do takich wniosków które nikomu się nigdy nie śniły ani nikt ich nigdy nie widział. A jemu, niezależnie jak by patrzył liczył i poprawiał, nadal wychodzi coś czego nie ma. Ale czy na pewno nie ma? Skoro wyszło z obliczeń to musi być, i jeżeli naukowiec dobry to wymyśli teorię, która to opisze i wyjaśni. Ale taka teoria jest tylko teorią bez namacalnego dowodu. Przykładem takiego zajścia relacji twierdzenie-dowód jest antymateria. W 1928 roku Paul Dirac wprowadził

relatywistyczne równanie elektronu, wyszło mu z niego, że poza elektronem powinna istnieć cząstka praktycznie identyczna tylko o przeciwnym znaku ładunku elektrycznego. Cząstka ta została zaobserwowana dopiero 1932 roku co dało dowód na istnienie antycząstek, „wymyślonych” przez Diraca już wcześniej. Tak więc z teorii przeszliśmy do dowodu.

Każda teoria, żeby była obowiązująca musi zostać udowodniona. Jest jednak jedna mała ciekawostka. Jeżeli teoria zostanie obalona to od razu mówi się że jest nieprawdziwa. Natomiast jeżeli dowody potwierdzają daną teorię, staje się ona obowiązująca i mówi się że jest teorią, która najlepiej opisuje doświadczenie, nie mówi się że taka teoria jest prawdziwa. W przyszłości, może skonstruowane zostanie takie doświadczenie, którego wyniki zaprzeczają tę teorię i zostanie ona wtedy obalona. Innymi słowy, każdą teorię można obalić, nawet, oczywiście czysto teoretycznie, teorie grawitacji.

Fizyka więc, działa właśnie dlatego, że jest weryfikowana przez rzeczywistość. Jest nauką która opisuje świat wokoło nas, a skoro świat działa i istnieje to fizyka również musi działać.

ML

Biblioteka

*przyjacielem
człowieka*



Z **Ludmiłą Sadowską**,
kustoszem Biblioteki
Publicznej m.st.
Warszawy
nr 53 w Dzielnicy
Śródmieście przy ulicy
Anielewicza
w Warszawie rozmawia
Joanna Dudek-Ławecka

Czy czytanie książek rzeczywiście odchodzi w przeszłość, czy biblioteki są jeszcze potrzebne?

Sądząc po naszej bibliotece, muszę powiedzieć, że ludzie dużo czytają i istnienie bibliotek jest absolutnie konieczne. Bywa, że mamy po 300-350 osób dziennie, które przychodzą, by pożyczyć książki. Na niektóre pozycje są zapisy jak w dawnych czasach na lodówkę czy pralkę. Kiedy wchodzi jakaś nowość i jest popularna, a u nas, ze względu na ograniczony budżet na zakupy, mamy jeden egzemplarz, tworzy się kolejka i trzeba czekać, nawet miesiącami. I nasi czytelnicy czekają, a potem z tym większą przyjemnością odbierają zamówioną książkę. Czasami książkami rządzi moda, tak jak innymi dobrami.

Książki obecnie są pięknie wydawane i niestety bardzo drogie. Na ich kupno nie każdy może sobie pozwolić, a zwłaszcza emeryci, którzy z jednej strony mają czas na czytanie, ale nie stać ich na kupno książki, dlatego biblioteki cieszą się popularnością wśród tej grupy użytkowników. Poza tym nie każdy ma tak duże mieszkanie, żeby móc mieć ogromną bibliotekę. Być może więc jesteśmy wybrańcami, ale naprawdę mamy dużą rzeszę czytelników.

Wspomniała Pani o emerytach, czy to oznacza, że głównymi korzystającymi z waszej wypożyczalni są ludzie starsi?

Jeśli chodzi o Dzielnicę Śródmieście, to jest ich tutaj rzeczywiście bardzo wielu. Na Ursynowie, na przykład, przeciętna wieku czytelnika jest niższa. Wynika to z prostej przyczyny, że osiedla dalej od centrum były budowane później i tam mieszkańcy są młodszy. Z kolei w centrum młodzież skupia się wokół Biblioteki Uniwersytetu Warszawskiego i bibliotek instytutowych czy Biblioteki Naukowej na Koszykowej. Choć muszę przyznać, że również wielu studentów korzysta z naszych zbiorów, głównie z działu popularno-naukowego. W naszej sieci śródmiejskiej mamy również placówki przeznaczone dla studentów – tzw. edukacyjne.

Skoro o studentach mowa, pamiętam z okresu własnych studiów, że bibliotekarz pełnił bardzo ważną rolę w studiowaniu. Miało się wrażenie, odwiedzając biblioteki naukowe, ale nie tylko, że bez względu na temat był w stanie od razu podać kilka pozycji do bibliografii, na dodatek nie zważając na czas realizacji zamówienia, określony w regulaminie biblioteki, potrafił książkę udostępnić natychmiast. Wiele prac nie tylko magisterskich zawdzięczamy bibliotekarzom. Jak to dzisiaj wygląda, skoro mamy Internet i wydaje się, że dostęp do informacji jest łatwiejszy?

Myślę, że w tym względzie rola bibliotekarza nie zmieniła się. Jest on w dalszym ciągu pracownikiem informacji, osobą, która podpowie, gdzie szukać wiedzy na dany temat. I zwłaszcza studenci z tego korzystają. W naszej wypożyczalni edukacyjnej pracownicy mają gotowe całe bibliografie do bardziej popularnych tematów prac rocznych.

Nie zmienił się też system, według którego magazynowane są książki czy tworzone poszczególne działy tematyczne. W większości bibliotek funkcjonuje system UKD (Uniwersalna Klasyfikacja Dziesiętna), działający ponad sto lat system dziesiętny, zgodnie z którym poszczególnym działom tematycznym odpowiadają konkretne liczby. Im bardziej zawęża się tematyka, tym na książce więcej oznaczeń liczbowych. Ponieważ zasady usystematyzowania zbiorów się nie zmieniły, w dalszym ciągu posługujemy się tablicami UKD, więc bibliotekarz w dowolnej bibliotece potrafi prawie po omacku znaleźć pozycję, dotyczącą wybranego tematu.

Poza tym bibliotekarz to też osoba, która lubi i czyta książki, może więc służyć radą, jeśli idzie o beletrystykę, podsunąć jakąś ciekawą pozycję i tutaj rola bibliotekarzy też jest ogromna. Zachęcić do czytania, to podstawowe zadanie, które na co dzień wykonują i którego roli nie da się przecenić.

Co w takim razie zmieniło się w bibliotekach i w Waszej pracy?

Od czasów papierowych katalogów i papierowych rewersów zmieniło się bardzo wiele. Nie oznacza to, że ich już nie ma, ale obecnie biblioteki katalogują zbiory cyfrowo i dzięki temu dostęp do nich jest łatwiejszy. Większość bibliotek ma swoje zbiory zamieszczone w Internecie. Można przez stronę biblioteki przeglądać katalogi, zamawiać wybrane pozycje, przedłużać okres wypożyczenia. Pracownicy bibliotek z kolei dzięki systemom informatycznym mają bezpośredni dostęp do katalogów różnych bibliotek, co pomaga w szybkim znalezieniu książki, której nie ma u nas, czy zarządzaniu obiegiem książek.

I tak, nasza biblioteka należy do sieci bibliotek Dzielnicy Śródmieście m. st. Warszawy, na

którą składa się siedemnaście wypożyczalni dla dorosłych, dziesięć bibliotek dla dzieci, czytelnia naukowa i wypożyczalnia kompletów książek. Czytelnicy mogą korzystać z naszego księgozbioru w całej sieci. Zapisują się w dowolnie wybranej bibliotece, dostają kartę z kodem kreskowym, która uprawnia ich do wypożyczania we wszystkich naszych oddziałach. Z kolei książki mają kody kreskowe, dzięki którym są rejestrowywane bezpośrednio na konto czytelnika lub z niego usuwane za pomocą czytników. Wygląda to trochę jak w czasie zakupów w każdym sklepie spożywczym. To oczywiście bardzo ułatwia nam pracę, zwłaszcza w te dni, kiedy wypożyczających czy oddających książki jest bardzo wielu.

Jak wspomniałam dzięki systemowi informatycznemu mamy podgląd w księgozbiory wszystkich naszych bibliotek i na przykład, jeśli jakaś książka jest u nas wypożyczona, możemy poszukać jej w innej bibliotece, sprawdzić jej status, to znaczy, czy jest wypożyczona czy nie i ewentualnie do kiedy, a jeśli jest dostępna, możemy ją zamówić dla naszego czytelnika. Każdy może też za pomocą systemu złożyć zamówienie na książkę przez Internet. Kiedy książka jest już wyszukana, realizujemy zamówienie za pomocą kodu kreskowego na książce i system automatycznie generuje e-mail z potwierdzeniem, że dana pozycja jest w ciągu trzech dni do odebrania. Jeśli czytelnik tego nie robi, książka wraca do magazynu lub na półkę. Jeśli dana książka zostaje oddana do nas, to czytelnik, który zgłosił wcześniej, że chciałby ją wypożyczyć jest mailowo informowany, że książka wróciła i jest dostępna. To wszystko jest możliwe dzięki rozwojowi informatycznemu.

Wygląda wspaniale, ale co z tymi, którzy nie mają dostępu do Internetu lub nie umieją sobie z nim radzić? Nie pożyczą u Was książki?

Jeśli Pani ma na myśli osoby starsze, to wcale nie jest tak źle. Naprawdę wiele starszych osób potrafi u nas zamówić książkę przez Internet. Jeśli nie mają do niego dostępu, zawsze mogą przyjść do nas. W każdej z naszych bibliotek jest kilka stanowisk komputerowych z dostępem do sieci i można samodzielnie szukać informacji lub skorzystać z naszej pomocy. Każdy bibliotekarz z przyjemnością będzie starał się wyszukać potrzebną książkę czy to dla naszego czytelnika starszego, czy młodszego, nawet jeśli danych o poszukiwanej pozycji jest niewiele - od tego jesteśmy.

Trwa teraz proces digitalizacji książek czy sądzi Pani, że może być zagrożeniem dla tradycyjnych bibliotek i tradycyjnej książki?

Wydaje mi się, że nie ma zagrożenia. Bardzo wiele osób lubi tradycyjny sposób czytania. Jeszcze kilka lat temu wszyscy mówili, że biblioteki przestną istnieć, bo wszystko będzie w Internecie. Tak się jednak nie stało i nie przewiduję, żeby miało się stać. Dużą rolę mamy tutaj do odegrania my, bibliotekarze, zwłaszcza jeśli chodzi o to, o czym mówiliśmy wcześniej, o pomoc w wyszukiwaniu informacji. W Internet wrzuca się wszystko, niekoniecznie sprawdzone informacje, i jeśli chce się rzetelnie opracować jakiś temat, nie na zasadzie kopiuj – wklej, pozostaje biblioteka z bibliotekarzem, który pomoże w znalezieniu informacji.

Dla wielbicieli Internetu mamy też jednak propozycję. Nasza biblioteka wykupiła usługę czytania książek w bibliotece internetowej. Nasi czytelnicy mogą od nas otrzymać darmowe hasło, wejść na stronę libra.pl, zalogować się i czytać do woli te pozycje, które już tam są.

Rozumiem, że jest to jeden ze sposobów na przyciągnięcie ludzi do bibliotek.

Czy są jakieś inne sposoby?

Wydaje mi się, że biblioteka jest obecnie czymś więcej niż wypożyczalnią książek czy czytelnią. Biblioteki mają do zaoferowania program kulturalny wybiegający poza te podstawowe cele. Te biblioteki spośród naszej sieci, które mają lokalowe możliwości organizują wiele spotkań z autorami, wernisaże, konkursy. Jest to na przykład Biblioteka dla Dorosłych nr 97, a w naszym budynku taką możliwość ma Biblioteka dla Dzieci nr 10 i naprawdę prężnie działa. Współpracuje ze szkołami, dla których organizuje lekcje biblioteczne, a dla mieszkańców dzielnicy imprezy zachęcające do kontaktu z biblioteką. Były więc dni różnych bohaterów książek z przebierankami czy przynoszeniem własnych zabawek, charakteryzowanie się na ulubione postacie z bajek. Imprezy te cieszą się dużą popularnością. Dzieci bardzo chętnie tu przychodzą przyprowadzane przez babcię czy rodziców. Czasami są to naprawdę małe dzieci dwu, trzyletnie. Zauważamy nawet, że niektórzy rodzice zaczynają bibliotekę traktować trochę jak zastępczą świetlicę i przysyłają do nas swe pociechy na wiele godzin. Na pewno przy tej okazji dzieci oswajają się z książkami i rosną nam wierni czytelnicy. A zanim nauczą się czytać mogą pożyczyć u nas film z bajką lub książkę czytaną.

Film w bibliotece?

Tak, mamy duży dział filmów dla dzieci. Przy okazji jednak przychodzą do biblioteki, oswajają się z miejscem. To również jest bardzo ważne. No i mamy też oczywiście duży

dział książki mówionej. Tego też kilkanaście lat temu jeszcze nie było, a teraz jest bardzo popularne. Osoby niewidome czy tracące wzrok mogą sobie odsłuchać książki z płytki. W naszej bibliotece i we wszystkich naszych oddziałach mamy bardzo duży zbiór tego rodzaju książek. To są bardzo dobre rzeczy, czytane przez wybitnych aktorów, często nowości, które dopiero co ukazały się drukiem. Dzięki temu problemy ze wzrokiem, nie oznaczają kłopotów z dostępem do literatury. Podobnie zresztą jak kłopoty z wyjściem z domu nie oznaczają braku możliwości wypożyczenia książki.

To znaczy z dostawą do domu?

Oczywiście, mamy usługę książka na telefon. Osoby, które nie są w stanie do nas przyjść osobiście i nie mają kogo poprosić o przysługę, mogą złożyć telefonicznie zamówienie i biblioteka dostarcza im książki. Pracują u nas osoby, które mają za zadanie zanieść książki potrzebującym. Jeśli dana osoba jest chora i nie może się poruszać, usługa jest bezpłatna. Jeśli zamawiającym jest osoba starsza – emeryt, ale chodzący, to wtedy musi wnieść opłatę. Nie są to jednak wygórowane stawki.

Biblioteka przyjacielem człowieka?

Staramy się, by każdy mógł mieć dostęp do słowa pisanego. Zresztą czytelnicy też potrafią nam pomóc i zrobić coś dla biblioteki. Ponieważ mamy ograniczony budżet na zakupy, prosimy o niewyrzucanie przeczytanych przez siebie czasopism, tylko o przynoszenie do nas. I jest duży odzew. Mimo braku pieniędzy, mamy w miarę na bieżąco prasę i możemy udostępniać ją naszym czytelnikom. Naprawdę współpraca jest dobra, czujemy się bardzo przydatni – i mam nadzieję, że nasi czytelnicy też tak uważają.

JDŁ



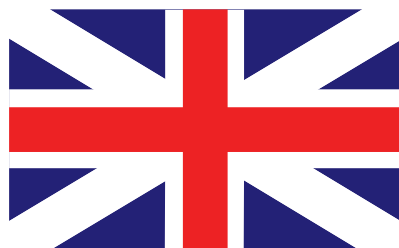
From the series:

My Travels

Israel- Stuck Elevator

part II

Agnieszka Thomassen



I was dreaming about the Nordic goddess, Sol, who was crossing the heavens in her chariot, unbridled in two horses. I opened my eyes. Big windows let in glistening rays of sunshine that, without any constraint, lightened the entire dormitory, making me feel more alive. Not wasting any time, I decided to go to Tel Aviv. To my biggest surprise the skyline of the city resembled the one in Chicago or Detroit. A few stories high, colossal billboards with Katie Holmes, and other American movie stars, were hanging pretty much everywhere in the city. In just a few minutes I counted so many of them that I wasn't sure in which country I was anymore! I was in awe of the abundance of what is not theirs. Especially since their own culture is rich, extending to a time before the country was created, and what was brought by Israeli immigrants settling in the area. Meanwhile, I was driving through the neighborhoods that looked as if somebody pulled them out with their Californian roots and placed them in a foreign land. The city is so Americanized that America would be proud of such representation. The store chain of: Toys "R" US, the Gap, American Eagle, and American

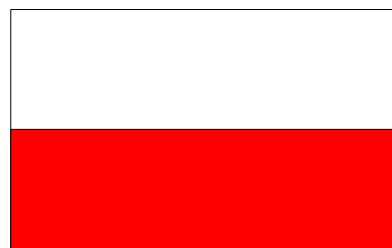
Z serii:

Moje podróże

Izrael - Zacięła się winda

część II

Agnieszka Thomassen



Śniłam o nordyckiej bogini słońca Sol, która przemierzała niebo na rydwanie zaprzężonym w parę koni. Otworzyłam oczy. Wielkie okna przepuszczały połyskujące promienie słońca, które bez skrzepowania rozświetlały całą sypialnię, pobudzając mnie do życia. Nie marnując czasu, postanowiłam pojechać do Tel Awiwu. Największym moim zaskoczeniem było podobieństwo panoramy tego miasta do tej w Chicago lub Detroit. Wszędzie porozwieszane są tam kolosalne, na kilka pięter, billboardy z Katie Holmes oraz inne reklamówki z amerykańskimi gwiazdami. W ciągu kilku minut naliczyłam ich tak dużo, że w pewnym momencie nie byłam pewna, w którym jestem kraju! Zaciekało mnie to, że istnieje tam przepych tym co nie jest ich własne. Tym bardziej, że ich kultura jest bogata, sięga jeszcze czasów przed stworzeniem tego państwa, którą przywieźli ze sobą imigranci żydowscy osiedlający się na tych terenach. Tymczasem przejeżdżałam przez osiedla, które wyglądały jakby ktoś je wyrwał z korzeniami w Kalifornii i usadawił w zupełnie obcej ziemi. Miasto jest tak zamerykanizowane, że sama Ameryka byłaby dumna z takiej reprezentacji.





Apparel dominate architecturally. The ambiance of the city reminded me of the mood in Miami where one feels general relaxation with warm weather, having a positive effect on a frame of mind. Huge shopping malls create mini cities. The people are relaxed (although loud), good music is being played everywhere, especially during weekends. The citizens of Tel Aviv dress up in modern and comfortable clothing, the women do not cover their heads, and none of them are wearing a burka. It was the women who were the biggest surprise to me besides the Americanized society. At first glance, they are strong, tough, self-confident, opened, independent, saying and doing what they want, rather than what they should do. All of it probably results from the fact of constant danger in this region and preparation of each person for any attack. Women have a duty to go to the army in which they serve for 3 years. This, I would say, almost military strength, pierces through them in everyday social interactions. Their femininity is on the verge of elegance and roughness in their speech and gestures. Even ordering a dinner in a good restaurant is not a complimentary exchange of phrases: "Yes? What do you want? Salad? Personally, I don't like this one because it tastes weird." The waitress reminded me of a Viking woman, a warrior with the shield, using a spear and a sword on daily bases, serving somebody during a feast, after a won battle. I cannot imagine an interaction of this woman with an overly polite Korean or Japanese person, who cares about the social order. My colleague, Eric- a French man who is wearing a scarf, and crosses his legs while sitting stylishly in the restaurant- preferred not to say anything to them, just so he wouldn't spoil their mood! This subtle man was simply unable to talk to them when they raised their voices. I must admit that their speech contrasts with beautiful intonation in Spanish or Italian language and resembles shouting; and each



Sieci sklepów: Toys "R" Us, Gap, American Eagle, American Apparel dominują architektonicznie. Atmosfera w mieście przypominała mi tą z Miami, gdzie czuje się ogólne zrelaksowanie ciepłą pogodą, wpływającą pozytywnie na samopoczucie człowieka. Wszędzie stoją wielkie domy handlowe, tworząc mini miasteczka. Ludzie są bardzo zrelaksowani (choć głośni), wszędzie gra dobra muzyka, szczególnie w weekendy. Mieszkańcy Tel Awiwu ubierają się nowocześnie i wygodnie, kobiety nie noszą nakryć na głowach, ani tym bardziej żadna z nich nie nosi burki. To właśnie kobiety były moim kolejnym największym zaskoczeniem poza zamerykanizowaną społecznością. Już na pierwszy rzut oka są one silne, wręcz twarde, pewne siebie, otwarte, niezależne, mówiące i robiące to co chcą, a nie to co powinny. Wynika to chyba z faktu ciągłego zagrożenia w tym regionie oraz przygotowania każdej osoby do jakiegokolwiek ataku. Kobiety mają obowiązek pójść do armii, w której służą trzy lata. Ta, powiedziałabym, wręcz wojskowa siła, przebija się w nich na co dzień w kontaktach społecznych. Ich kobiecość ma w sobie coś z pogranicza elegancji z pewnym ociosaniem w mowie i gestach. Chociażby zamówienie obiadu w dobrej restauracji nie należy do wymiany formułek grzecznościowych: „Tak? Co chcecie? Sałatkę? Tej osobiście nie polecam, bo ma jakiś dziwny smak”. Kelnerka przypominała mi kobietę Wikinga, wojowniczkę z tarczą, posługującą się na co dzień włócznią i mieczem, usługującą komuś podczas uczty po wygranej bitwie. Nie wyobrażam sobie interakcji tej kobiety z nazbyt uprzejmym Koreańczykiem lub Japończykiem, którzy dbają o ład społeczny. Mój znajomy z Francji Eric- mężczyzna delikatny, kulturalny, który nosi apaszkę i zakłada nogę na nogę, kiedy siedzi wytwornie w restauracji - wołał się czasami do nich nie odzywać, żeby tylko nie popsuć im humoru! Ten subtelny człowiek wręcz nie potrafił z nimi rozmawiać, kiedy one unosiły



conversation, even about trivial things, seems to be worth of a good and healthy argument. That is why tourists often think that the Jewish people always fight! My husband attended business meetings during which two fronts were created. Both groups were sitting on the opposing sides of the room, presenting some important facts, relentlessly shouting various faults to one another. The meetings resembled a hailstorm and rarely ended with a solution to the problem. Interestingly, they find themselves in all of it, and, eventually, solve their disputes.

Israeli women are equal to men in their country. Even those who do not work, have high social status. Ladies who take care of their children (and, at times, have many of them) take care of the house that is their castle, and in which they rule. Women are not the property of men, have good education, and are not disregarded for who they are. Men appreciate their work, contribution to the house, and taking care of their offspring. Women have respect and often give an impression of being dominant (maybe because they never "beat about the bush" when they express their opinion?). On the other hand, women who work, often have a high position. What I like about them is their openness to talks in which there is no taboo, and their joy of life. It seems to me that, the sense of constant threat in this country helps people to be happy about each moment of peace. People like to go out, meet in restaurants with friends, and have fun. However, even in the times of stability, there are soldiers walking around, scaring foreigners with long, pointy rifles, reminding everybody about their difficult circumstances they are in. Even ordinary things, like parking the car at the supermarket, can be frustrating for a foreigner, and require a lot of patience. Every driver must stop at the railing and open the trunk of the car, presenting its contents. While entering the shopping mall, each client goes through the scanning machine, just like



głos. Muszę przyznać, że ich mowa zdecydowanie kontrastuje z piękną intonacją języka hiszpańskiego lub włoskiego i przypomina krzyk, a każda konwersacja nawet na tematy błahe, wydaje się być warta dobrej, zdrowej sprzeczki. Stąd niektórzy turyści często myślą, że Żydzi się ciągle kłócą! Mój mąż uczestniczył w spotkaniach w pracy, podczas których tworzyły się dwa fronty. Obie grupy, siedząc po obu stronach sali, przedstawiając jakieś ważne fakty, niemiłosiernie wykrzykiwały sobie nawzajem różne niedociągnięcia. Spotkania te przypominały zazwyczaj burzę gradową i rzadko kiedy kończyły się rozwiązaniem problemu. Ciekawe jest to, że oni się w tym odnajdują i w końcu rozwiązują zaistniałe konflikty.

Israelki są w tym kraju równe mężczyznom, nawet te które nie pracują posiadają wysoki status społeczny. Panie, które wychowują dzieci (a mają tych dzieci często bardzo dużo) zajmują się domem, który jest ich twierdzą, a w którym to one rządzą. Kobiety nie stanowią własności mężczyzny, posiadają dobre wykształcenie i nie gardzi się nimi za to kim są. Ich praca, ich wkład w dom i wychowanie dzieci jest doceniana przez mężczyzn. Kobiety mają w tym kraju posłuch i często sprawiają wrażenie dominujących (może dlatego bo nigdy nie „owijają w bawełnę” kiedy wyrażają swoją opinię?). Z kolei kobiety, które pracują często posiadają wysokie stanowisko. Co w nich lubię to ich otwartość na rozmowy, w których nie ma tematów tabu oraz radość z życia. Wydaje mi się, że poczucie ciągłego niebezpieczeństwa w tym państwie pomaga ludziom cieszyć się z każdej chwili spokoju. Ludzie lubią wychodzić do restauracji, spotykać się z przyjaciółmi, dobrze się bawić. Ale nawet w czasach stabilizacji wszędzie chodzą uzbrojeni żołnierze, strasząc obcokrajowców długimi, spiczastymi karabinami, przypominając wszystkim o trudnych okolicznościach w jakich się znajdują.



at the airport. Unfortunately, terror attacks in these places happened in the history of Israel, therefore the forethought to do it.

Wandering around the neighborhoods of Tel Aviv, I got to know its corners. Tall, skinny palm trees decorated long, manicured streets. The shrubs full of rippling huge olives were growing in the gardens, in front of the houses. Small store sellers offered exotic fruits and vegetables, which they exposed on the stands in front of the stores, dressing up grey buildings. Boxes organized in rows exhibited orange oranges, yellow lemons, pale green limes, and red and purple pomegranate fruits. International restaurants encouraged guests to enter and try one of the dishes, showing off their own, uncommon spice blends, using cumin, fennel, saffron, and ginger. The smells on the street were alternately heavy and prickling the nose, or sweet and delicate. The only negative, in the richness of what the city had to offer, was finding a parking space- something that made the drivers to double park, causing confusion. Generally, the drivers are very "creative" if it comes to driving, and no traffic is a problem for them. After all, it is still possible to drive on the walkway if someone is in rush!

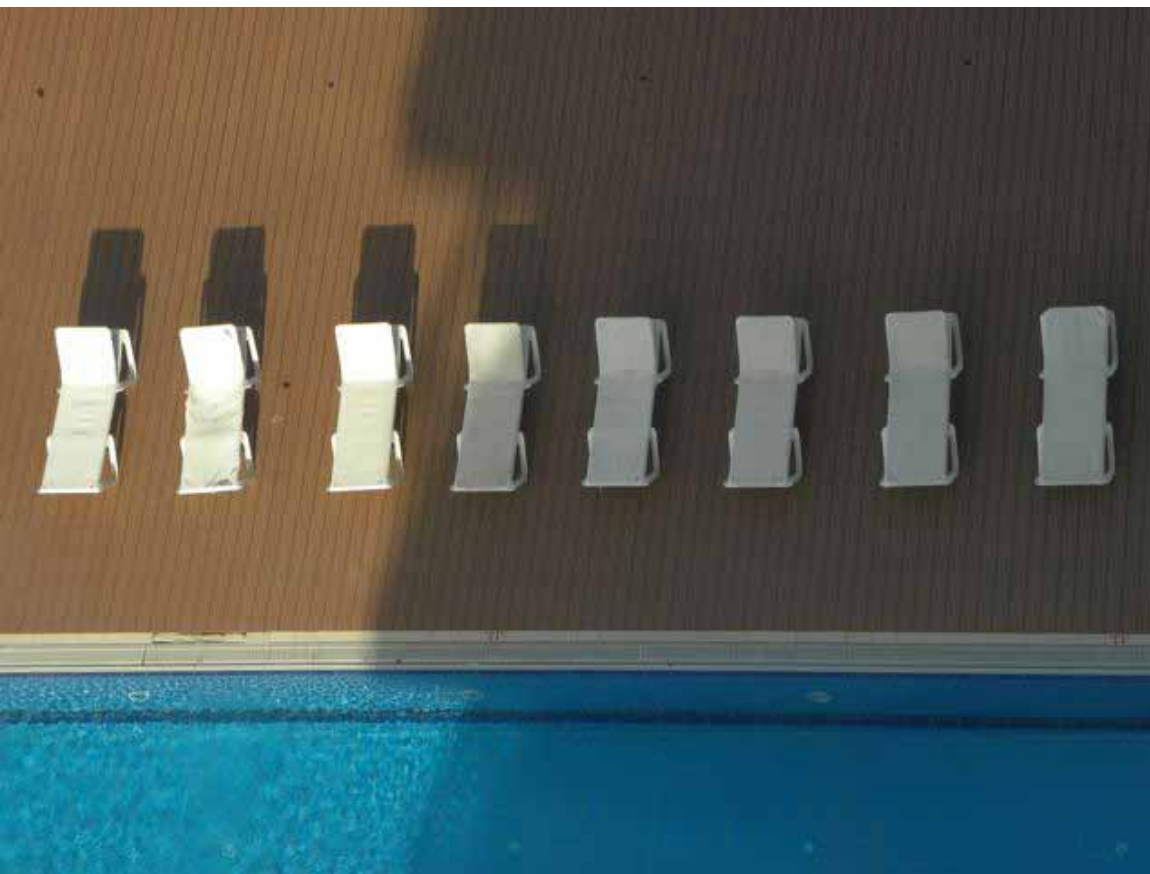
Wide, multilane, American highways were encroaching into towns full of destroyed walls, unfinished buildings, falling apart roads, and fences. The character of the nation, their inattention to detail, certain sloppiness, permeated in beautiful corners of Tel Aviv. Americanization was wearing off in various nooks in the area. Leaving town, I suddenly crossed an invisible border that like a razor was cutting the modernity of Tel Aviv and provincial conservatism. I was noticing more and more flaws, lack of precision, shoddy workmanship. In smaller towns there were figures scrolling down the roads, in black, traditional clothing, crowds of fathers and



Nawet zwykle wykonywane czynności, jak parkowanie samochodu w supermarkecie może być frustrujące dla obcokrajowca i wymaga wiele cierpliwości. Każdy kierowca musi się zatrzymać przed balustradą i otworzyć bagażnik samochodu, prezentując jego zawartość. Wchodząc do centrum handlowego, każdy klient przechodzi przez urządzenie skanujące jak na lotnisku. Niestety, zdarzały się w historii Izraela zamachy terrorystyczne w tego typu miejscach, stąd ich przezorność.

Wędrując tak po okolicach Tel Awiwu poznawałam jego zakątki. Wysokie, chude palmy ozdabiały długie, zadbane ulice. W przydomowych ogródkach rosły krzewy, pełne dojrzewających, wielkich oliwek. Sprzedawcy małych sklepików oferowali egzotyczne owoce i warzywa, które wystawione na półkach przed sklepami, dekorowały szare budynki. Poukładane w równych rzędkach pudełka ukazywały pomarańczowe pomarańcze, żółte cytryny, seledynowe limonki i czerwono-fioletowe granatowce. Międzynarodowe restauracje zachęcały gości do wejścia i spróbowania potraw, chwając się mieszkankami niepospolitych przypraw z użyciem kopru, kminku, szafranu i imbiru. Zapachy na ulicy były na przemian ciężkie i drażniące nos, lub słodkawe i delikatne. Jedynym minusem w bogatej ofercie miasta był kłopot ze znalezieniem parkingu, co powodowało, że mieszkańcy parkowali podwójnie tworząc zamieszanie. Ogólnie kierowcy są tam bardzo „pomysłowi”, żaden korek na drodze nie stanowi problemu. No bo przecież można przejechać i po chodniku jak się komuś spieszy!

Poza miastem, szerokie, wielopasmowe, amerykańskie autostrady wkraczały w miasteczka pełne rozwalonych murów, niewykończonych budynków, rozpadających się ulic i płotów. Charakter narodu, jego niedbałość o szczegóły, pewna niechlujność, przenikały w pięknych zakątkach wokół





sons with black hats on their heads, and long curls flowing down, on both sides of their faces. I must admit this was a beautiful view. I especially enjoyed seeing women and girls wearing long skirts and having their arms covered up. For some, it may be too simple and thrifty, but honestly, I prefer this style from provocative, overly short skirts, and bursting-out breasts of some modern teenagers. Traveling in the car I was wondering about their traditions and culture and it's importance to their people. The Western world has abandoned its traditions, got rid of moral behaviors, and became lost while consuming tangible goods. A man doesn't have a signpost that would guide him through his life, and starts to lose him-self in who he is and what he does. Nowadays, TV programs, the newspapers (tabloids), and commercials that teach us how to buy things we do not need, are our point of reference. Based on what I have observed, I can only guess that their culture doesn't allow their children to play, full of aggression computer games or watch the movies that do not show anything else but terror, murder, and flowing hectoliters of blood. Sometimes I have the feeling that brutal movies and games are created by psychopathic minds. Although games are not the reason of aggression among the youth, which is confirmed by the scientific research, I am convinced that they leave scars on their young, still developing, mind. Not many people know that games were, at first, used as a simulation which was suppose to help the soldiers in the battle, more explicitly, to get rid of the inhibitions to kill, being the means of desensitization of the suffering of another human being, and disinhibiting the constraints of aggressive behaviors. No wonder that the research done by the sociologists detect a trend of increase in the aggressiveness among the boys and girls- who behave nowadays like boys 20 years ago. I do not know what causes the phenomenon of getting lost in the Western society, however, I noticed adults



Tel Awiwu. Zamerykanizowanie przecierało się powoli w różnych zakamarkach. Wyjeżdżając z miasta, przekroczyłam nagle niewidoczną granicę, która jak brzytwa ostro przecinała nowoczesność Tel Awiwu z małomiasteczkowym konserwatyzmem. Dostrzegałam coraz to więcej niedociągnięć, braku precyzji, fuszerek. W miasteczkach po rozwalonych ulicach przewijały się postaci w czarnych, tradycyjnych strojach, tłumy ojców i synów z czarnymi kapeluszami na głowach, z długimi lokami spływającymi po bokach ich twarzy. Muszę przyznać, że wyglądało to pięknie. Szczególnie podobały mi się kobiety i młode dziewczyny, które miały długie spódniczki i zakryte ramiona. Dla niektórych może to być nazbyt prosty i oszczędny ubiór, ale - powiem szczerze - wolę taki strój od wyzywających krótkich spódniczek i „wylewających” się biustów niektórych współczesnych nastolatków. Jadąc samochodem, rozmyślałam nad ich tradycją i tym jak bardzo jest ona dla nich ważna i kulturowana. Świat zachodu porzuca swoje tradycje, odrzuca zasady moralne, zatracą się w konsumowaniu dóbr materialnych. Człowiek nie ma dzisiaj drogowskazu, który by go prowadził przez życie i zaczyna gubić się w tym kim jest i co robi. Naszym punktem odniesienia jest dzisiaj telewizja, gazety (brukowce) i reklamy, które uczą jak kupować rzeczy, których nie potrzebujemy. W oparciu o to co obserwowałam, mogę się tylko domyślać, że ich obyczaje nie pozwalają dzieciom grać w gry komputerowe pełne przemocy czy oglądać filmy, które nie ukazują nic innego jak terror, zabójstwa i lejącą się hektolitrami krew. Czasami mam wrażenie, że brutalne kino i gry stworzone są przez jakichś psychopatów. Chociaż gry nie są przyczyną agresji wśród młodzieży, co potwierdzają badania naukowe, jestem przekonana, że zostawiają one ślad na młodym, rozwijającym się umyśle. Mało kto wie, że początkowo gry stanowiły symulację, która miała pomóc żołnierzom w walce, a konkretniej, w celu pozbycia się zahamowań przed





who became blind, striding through their lives with littered minds. And these scraps are passed on to our children. We become desperate, do not trust anybody, our colleagues at work, banks, churches, politicians, doctors, insurance companies. We do not feel fulfilled, and we do not know which way to go. We are lonely. We forgot, in the Western world, that we are part of this planet, that we should celebrate life, everything that surrounds us, and ourselves. I hope that, very soon, we are going to discover afresh fascination with ourselves, nature, one another; we will become the discoverers of our surroundings, moral philosophers, returning to our most distant roots of humanity. Although, we often laugh at traditions of other people, their faith helps them to stay normal (if such thing even exists). Different customs allow them to stay in touch with another human being, and with their family members, offer time to compose themselves, spend time with each other, get rid of the problems, but also it toughens them up. Just as we are capable of climbing the stairway all the way up to the 15th floor, not using the elevator, doing it for God each Saturday; we are also able to do something good for another human being. These type of principles tone up the body, mind, and soul. I often have the feeling, and I hope I am wrong, that they will survive in this world, while us- civilized but dysfunctional people of the West, will vanish.

After an interesting day spent on visiting “exotic” places, going on an elevator to the 10th floor, in a panoramic, glass escalator, I appreciated beautiful weather. There are two types of elevators in Israel, where the second type is working automatically and is used during Sabbath. Sabbath, that begins on Friday at dusk, and ends at dusk on Saturday, prohibits the use of any electric devices, including the refrigerator. Sabbath elevators are design in such a way that allows it to stop at every floor, so Jews don’t have to use the electric buttons. Standing



zabijaniem, będące zabiegiem odczulającym na cierpienie drugiego człowieka oraz pozbawieniem hamulców zachowań agresywnych. Nic dziwnego, że badania naukowe wśród socjologów zauważają trend wzrostu agresji zarówno wśród chłopców jak i młodych dziewczyn - zachowujących się dzisiaj tak jak chłopcy 20 lat temu. Nie wiem na czym polega fenomen zagubienia się zachodniego społeczeństwa, ale zauważam ludzi dorosłych, którzy stali się ślepcami kroczącymi przez życie z zaśmieconymi umysłami. I te odpadki przekazuje się naszym dzieciom. Stajemy się zdesperowani, nie ufamy nikomu, kolegom w pracy, bankom, kościołom, politykom, lekarzom, firmom ubezpieczeniowym. Sami w sobie nie czujemy się spełnieni, nie wiemy dokąd dążymy. Jesteśmy samotni. W zachodnim świecie zapomnieliśmy, że jesteśmy częścią tej planety, że powinniśmy celebrować życie, siebie samych, to co nas otacza. Mam nadzieję, że niedługo odkryjemy w sobie ponowne zafascynowanie światem, przyrodą, sobą nawzajem, staniemy się badaczami natury, filozofami moralności, powrócimy do odległych korzeni naszego człowieczeństwa. Choć często śmiejemy się z dziwnych tradycji innych ludzi, ich wiara utrzymuje ich w granicach normalności (jeśli taka w ogóle istnieje). Odmienne zwyczaje pozwalają im na kontakt z drugim człowiekiem i z członkami rodziny, dają czas na wyciszenie się, spędzanie ze sobą czasu, wyrzucenie z siebie swoich problemów, ale również ćwiczy ich charakter. No bo jeśli jesteśmy w stanie wchodzić na 15 piętro po schodach, nie korzystając z windy, robiąc to dla Boga w każdą sobotę, to i jesteśmy w stanie zrobić coś dobrego dla drugiego człowieka. Tego typu zasady hartują ciało, umysł i duszę. Mam czasami wrażenie, i mam nadzieję, że się mylę, że to oni przetrwają na tym świecie kiedy my – cywilizowani, ale dysfunkcyjni ludzie zachodu – wyginie.





in the Sabbath escalator; contemplating the rules of the holy day, I felt the warmth passing through the glass that reminded me of a freezing temperature in Europe. Suddenly, I felt quivering, creaking, and jerking. Sharply, I went a few floors down, just to be shoot up in a moment, like in a Tower of Terror in Disney World, in Florida. I felt like being in a horror movie in which people are desperately trying to get out from the elevator. After a short period of impulsive falling and abrupt bouncing, I realized that the elevator was stuck...

Agnieszka Thomassen



Po ciekawym dniu spędzonym na zwiedzaniu „egzotycznych” miejsc, jadąc na 10 piętro w przeszklonym dźwigu panoramicznym, doceniałam piękną pogodę. W Izraelu istnieją dwa typy wind, z których ten drugi typ jest windą szabatową, działającą automatycznie. Szabat, który zaczyna się w każdy piątek po zmierzchu, a kończy się po zmierzchu w sobotę, zakazuje używania jakichkolwiek urządzeń elektrycznych, w tym np. lodówki. Windy szabatowe są zaprojektowane w taki sposób, żeby Żydzi nie musieli korzystać z przycisków elektrycznych, stąd zatrzymują się one same na każdym piętrze. Stojąc tak sobie w szabatowej windzie, kontemplując prawa tego święta, czułam ciepło przenikające przez szybę, które przypominało mi o minusowej temperaturze w Europie. Nagle poczułam drgania, skrzypienie, szarpanie. Gwałtownie zjechałam kilka pięter w dół, później zostałam wystrzelona w górę jakbym była w Wieży Terroru w Świecie Disney'a na Florydzie. Poczułam się jak w jakimś filmie grozy, w którym ludzie starają się desperacko wydostać z windy. Po krótkim czasie narwanego spadania i nagłych podrywów, uświadomiłam sobie, że zacięła się winda...

Agnieszka Thomassen



